

Pismo
ukazuje się
we wtorki
i piątki

Głos *weekend*

Piątek
25 czerwca 2021
nr 48 (LXXVI)
cena: 17 Kč



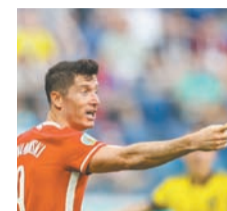
WIADOMOŚCI
**PÓŁ WIEKU SZKOŁY
POLSKIEJ W PRADZE**
STR. 2-3



NOWE TECHNOLOGIE
**WIRTUALNY PIENIĄDZ
MA PRZED SOBĄ
PRZYSZŁOŚĆ** STR. 7



SPORT
**ANALIZA KU
POKRZEPIENIU SERC**
STR. 13



Komu potrzebna jest ta obwodnica?

PROBLEM: W Żywocicach dyskutowano we wtorek o budowie obwodnicy Hawierzowa. Budzący wiele emocji temat ściągnął na spotkanie z władzami miasta Hawierzowa oraz Dyrekcją Dróg i Autostrad sporo mieszkańców Żywocic, ale także sąsiednich miejscowości. Obecni nie dali się przekonać, że korzyści wynikające z nowej drogi zrekompensują nieodwracalne szkody na środowisku naturalnym i komforcie życia mieszkańców.

Danuta Chlup

Przedstawiciele magistratu i DDA odpowiadali na pytania prowadzącego dyskusję Davida Kolarčíka, inicjatora petycji przeciwko budowie, którą podpisało ok. 5 tys. osób oraz publiczności. Argumenty gości nie trafiły obecnym do przekonania. Gorzki śmiech budził fakt, że budowa drogi wychodzi z Zasad Rozwoju Regionalnego, opracowanych na szczeblu wojewódzkim już przed 30 laty, nieuwzględniających dzisiejszych priorytetów mieszkańców, większej dbałości o środowisko naturalne, o wiele gęstszej zabudowy na obrzeżach Hawierzowa. Jednak zdaniem wiceprezydenta miasta Bogusława Niemca ustalonych zasad nie da się zmienić, a przynajmniej nie leży to w kompetencji hawierzowskich radnych. Inwestorem budowy obwodnicy jest Ministerstwo Transportu. Również Śárka Kubalowa z DDA przekonywała, że raz wytyczony przebiegu nie da się teraz zmieniać.

Jedną zmianę mimo wszystko wprowadzono – obwodnica nie będzie skomunikowana z autostradą D1 w Boguminie. Dzięki temu nie stanie się trasą tranzytową dla pojazdów zmierzających z Polski na Słowację i odwrotnie. Obecni przy-



• Dyskusja budziła wiele emocji. Sporo uwag do inwestycji zgłaszał Šimon Laciok z Cierlicka.
Fot. DANUTA CHLUP

jęli to jako wiadomość pozytywną, ponieważ natężenie ruchu będzie mniejsze, lecz z drugiej strony pogłębiło to wątpliwości co do celowości inwestycji.

Projektant Roman Kotas przyznał otwarcie, że obwodnica Hawierzowa będzie obwodnicą nietypową, ponieważ nie usunie

z miasta tranzytu tirów (przejazd ciężarówek przez centrum już teraz jest zabroniony) i w zasadzie będzie służyła samym hawierzowianom, przemieszczającym się pomiędzy różnymi częściami miasta i sąsiednimi miejscowościami.

– Jaki sens ma realizacja megalomańskiego projektu budowy

przez terytorium Suchej Górnej – gęsto zabudowanym terenem, w bezpośrednim sąsiedztwie stadniny koni i brzegiem lasu. Zagrożony jest los co najmniej pięciu pomniczków Tragedii Żywocickiej.

O pomniczkach kilkakrotnie wspomniano podczas dyskusji.

obwodnicy miasta, które ma mały odsetek transportu tranzytowego, a za ruch w mieście odpowiedzialni są sami jego mieszkańcy? Zamierzacie wydać na to 10 mld koron? I zniszczyć Żywocice i Cierlicko? – oburzał się lekarz Šimon Laciok, mieszkaniec Cierlicka-Grodziszca.

Marian Weiser, członek Zarządu Gminy Sucha Górna, zwracał uwagę na fakt, że spora część obwodnicy pobiegnie

przez terytorium Suchej Górnej – gęsto zabudowanym terenem, w bezpośrednim sąsiedztwie stadniny koni i brzegiem lasu. Zagrożony jest los co najmniej pięciu pomniczków Tragedii Żywocickiej.

O pomniczkach kilkakrotnie wspomniano podczas dyskusji.

Kotas stwierdził, że jeszcze nie nadszedł odpowiedni czas, aby takie szczegóły były rozwiązywane, wiceprezydent Hawierzowa Bogusław Niemiec zapewnił, że problem ten trzeba będzie rozwiązać tak, aby zostały one zachowane. Na pytanie „Głosu”, kto i kiedy zajmie się tym problemem, wiceprezydent odpowiedział:

– Nasz Urząd Budowlany będzie zatwierdzał warunki budowy, głos mieliby zabrać także przedstawiciele ochrony zabytków.

Mieszkańcy Żywocic nie zamierzają się poddać w walce z inwestycją, która całkowicie zmieni (na gorsze) wygląd ich wioski.

– Ta budowa nie przyniesie żadnych korzyści temu regionowi. Będziemy robili wszystko, aby ją zatrzymać. Sens może mieć najwyższej jedna gałąź obwodnicy, od ul. Rudnej po skrzyżowanie „Północ” (ma ono powstać na granicy Suchej Średniej i Górnej – przyp. red.) – powiedział naszej gazecie Martin Cyž, wiceprezes stowarzyszenia Żywocice Sobie.

Projekt inwestycji jest obecnie w fazie poprzedzającej analizę wpływów na środowisko naturalne (EIA). Proces EIA jest jedną z głównych okazji dla mieszkańców, aby zgłaszali krytyczne uwagi wobec niego. ▲

19

Kilometrów długości ma mieć obwodnica Hawierzowa. Jej początek będzie na wjeździe do miasta od strony Szonowa i poprowadzi przez Suchą Średnią, Górną, Żywocice i Cierlicko do Trzanowic. Na trasie ma być kilka skrzyżowań wielopoziomowych. Do obwodnicy ma nawiązywać tak zwane przedłużenie Alei Głównej, z której będzie wjazd na obwodnicę. Ma ono ulżyć ulicy Cieszyńskiej. Zdaniem krytyków ruch w mieście wskutek tego się nie zmniejszy, dojdzie jedynie do jego przeniesienia z jednej ulicy na inną, w dodatku w pobliżu strefy rekreacyjnej – Parku Leśnego. Początek budowy pierwszego etapu obwodnicy przewidziany jest na 2028 rok.

REKLAMA

LETNIE OBOZY 2021

- sportowe TENISOWE lub BADMINTONOWE
- sportowe tenisowe z lekcjami ANGIELSKIEGO
- taneczne „TRSEJ DOKUD MUŽEŠ”
- jeździeckie „MÍSTO LENĚNÍ VESELÉ KONĚNÍ”

sport vitality

+420 601 276 193

www.vitalityslezsko.cz

ZDANIEM... Witolda Koźdonia



kozdon@glos.live

Pamiętacie „Złoty Pociąg” i 65. kilometr linii kolejowej Wrocław – Wałbrzych? Tego lata polscy poszukiwacze skarbów (i nie tylko oni) żyją natomiast historią Bursztynowej Komnaty. W Mamerkach – małej, leśnej osadzie w województwie warmińsko-mazurskim, w której w czasie wojny przez pewien czas mieściła się Kwatera Główna Niemieckich Wojsk Lądowych, odkryto bowiem wiosną system nieznanych, podziemnych korytarzy. To zaś po raz kolejny rozpalilo wyobraźnię poszukiwaczy skarbów, którzy wierzą, że w mazurskich lasach Niemcy mogli ukryć Bursztynową Komnatę. Oczekiwania polskich muzealników są wprawdzie dużo mniejsze (moje zresztą też), mimo to wydarzenie wzbudza ogromne emocje.

Osobiście wątpię, że w Mamerkach znajdą się jakieś „skarby”, choć z drugiej strony doniesień o Złotym Pociągu czy Bursztynowej Komnacie wcale nie traktuję jak letnich tematów ogórkowych. Uświadamiają nam bowiem, jak niewiele wiemy o tajemnicach II wojny światowej. 76 lat po jej zakończeniu nadal nie sposób doliczyć się tysięcy dzieł sztuki, kilogramów złota czy kilometrów archiwów zrabowanych przez Niemców w podbitych krajach. Duża część tych łupów pozostaje nieodkryta, nic więc dziwnego, że ich tropem ruszają pasjonaci i zawodowcy. I czasami odnoszą sukcesy. W historiach o nazistowskich „skarbach” bulwersuje mnie za to fakt, że wielu zbrodniarzy wojennych dzięki swej wiedzy uniknęło stryczka. Chronieni przez wywiady zwycięskich państw mogli śmiać się swym ofiarom w oczy...

Na koniec dodam, że Mamerki mają konkurencję. Jak zwykle bowiem poszukiwacze skarbów są podzieleni w ocenie, gdzie może znajdować się Bursztynowa Komnata. A trzeba wiedzieć, że w zeszłym roku grupa polskich nurków zlokalizowała na dnie Bałtyku wrak niemieckiego parowca „Karlsruhe” – ostatniego statku, który opuścił Piławę przed zajęciem Prus Wschodnich przez Rosjan. Zdaniem niektórych to właśnie w skrzyniach we wraku, a nie w Mamerkach, mogą znajdować się elementy Bursztynowej Komnaty. Ponieważ zaś nurkowie ze stowarzyszenia Baltitech są już gotowi, by rozpocząć eksploatację szczątków „Karlsruhe”, myślę, że emocji związanych z legendarnym „złotem nazistów” z pewnością nam tego lata nie zabraknie. ▲

CYTAT NA DZIS



Karolina Wantulok

prezes Wiślańskiej Organizacji Turystycznej, dla Polskiej Agencji Prasowej

Sezon wakacyjny w Wiśle daje się odczuć po 10 lipca. W pierwszej kolejności Polacy rezerwują jednak miejsca nad morzem. Synoptycy zapowiadają, że pogoda będzie ładna, więc liczymy, że sezon w tym roku rozpocznie się nieco wcześniej

W OBIEKTYWIE...



• Tradycyjny „Wygón łowiec” odbył się w niedzielę na terenie wyciągu narciarskiego Pasieki w Wiśle. Uroczyste wyprowadzenie owiec na pastwisko pierwotnie miało mieć miejsce w maju, jednak z powodu obustrznej epidemiologicznych zostało przesunięte na drugą połowę czerwca. Rozporządzenie bowiem uniemożliwiło występy zespołów muzycznych, a w programie imprezy miały prezentować się kapele i zespoły góralskie. Bez tradycyjnej muzyki spotkanie straciłoby swój urok. „Wygón łowiec”, nazywany również redykim, został zorganizowany w ramach obchodów Roku Górali. „Zwrot”

Fot. CZESŁAW GAMROT / Zwrot

DZIS...

25

czerwca 2021

Imieniny obchodzą:

Łucja, Prosper

Wschód słońca: 4.38

Zachód słońca: 20.57

Do końca roku: 189 dni

(Nie)typowe święta:

Dzień Stoczniozca

Światowy Dzień Smerfa

Przysłowie:

„Jak w czerwcu pogoda służy, rolnik tylko oczy mruży”

JUTRO...

26

czerwca 2021

Imieniny obchodzą:

Jan, Paweł

Wschód słońca: 4.38

Zachód słońca: 20.57

Do końca roku: 188 dni

(Nie)typowe święta:

Dzień Szwagra

Światowy Dzień

Chłodnictwa

Przysłowie:

„Czerwiec mokry po zimnym maju, chłopom w jesieni będzie jak w maju”

POJUTRZE...

27

czerwca 2021

Imieniny obchodzą:

Maria, Władysław

Wschód słońca: 4.38

Zachód słońca: 20.57

Do końca roku: 187 dni

(Nie)typowe święta:

Święto Marynarki

Wojennej

Dzień Walki z Cukrzycą

Przysłowie:

„Czerwiec się czerwieni, będzie dość w kieszeni”

POGODA

piątek



dzień: 20 do 25 C

noc: 19 do 16 C

wiatr: 1-3 m/s

sobota



dzień: 18 do 22 C

noc: 17 do 15 C

wiatr: 1-2 m/s

niedziela



dzień: 20 do 24 C

noc: 17 do 14 C

wiatr: 1-2 m/s

Pół wieku Szkoły Po

Szkoła Polska im. św. Jadwigi w Pradze świętowała 50-lecie założenia. Obchody jubileuszu połączone z zakończeniem roku szkolnego.

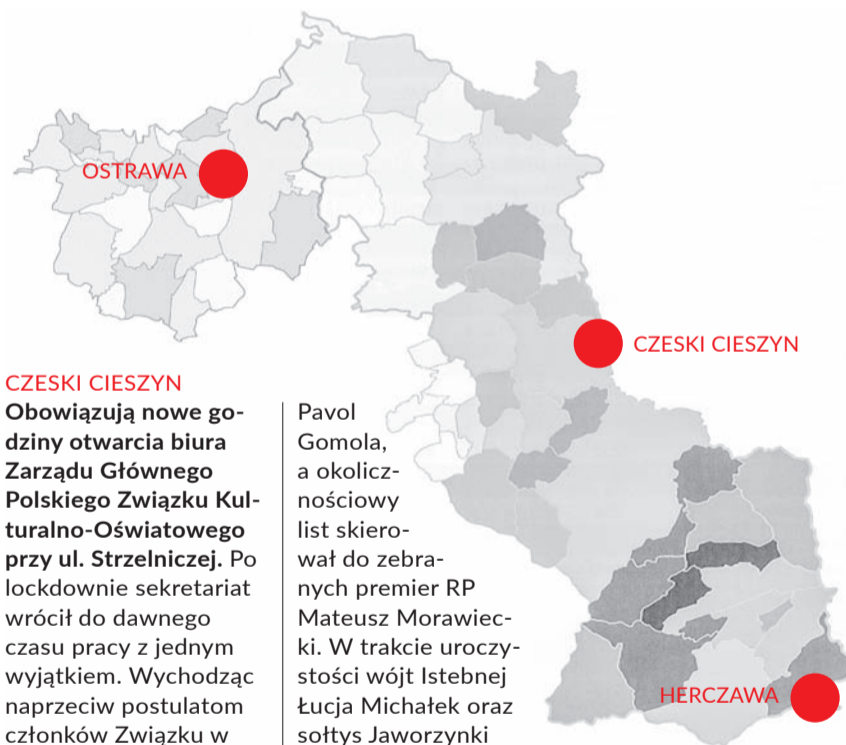
Witold Koźdon

Okolicznościowa uroczystość odbyła się przed tygodniem, w sobotę 19 czerwca, w ogrodach praskiej Ambasady RP. W jej trakcie Agata Vlasáková, pełniąc funkcję kierowniczkę szkoły, otrzymała Odznakę Honorową „Bene Merito” nadawaną przez ministra spraw zagranicznych RP za szczególne zasługi w umacnianiu pozycji Polski na arenie między-

narodowej. Z kolei wyróżniający się uczniowie dostali ufundowane przez Ambasadę RP nagrody i dyplomy. Były



DZIEJE SIĘ W REGIONIE



CZESKI CIESZYŃ

Obowiązują nowe godziny otwarcia biura Zarządu Głównego Polskiego Związku Kulturalno-Oświatowego przy ul. Strzelniczej. Po lockdownie sekretariat wrócił do dawnego czasu pracy z jednym wyjątkiem. Wychodząc naprzeciw postulatam członków Związku w środy biuro Zarządu Głównego jest teraz czynne już od godz. 7.00. Poza tym w poniedziałki, wtorki i czwartki sekretariat pracuje od godz. 8.00 do 16.00 z godziną przerwą obiadową między godz. 12.00 a 13.00. Piątek pozostaje natomiast dniem niurzędowym. (wik)

HERCZAWA

Wójt Marek Sikora wziął udział w obchodach jubileuszu 400-lecia Jaworzynki. Wydarzenie zorganizowano na styku granic Polski, Czech i Słowacji. Na Trzycełek przybył też m.in. wójt słowackiej gminy Czerne

Pavol Gomola, a okolicznościowy list skierował do zebrań premier RP Mateusz Morawiecki. W trakcie uroczystości wójt Istebnej Łucja Michałek oraz sołtys Jaworzynki Bogusława Kawulok posadzili pamiątkowy jawor, czyli drzewo od którego Jaworzynka wzięła swą nazwę. Wydarzeniu towarzyszył kiermasz rękodziela twórców z Mikroregionu „Górolsko Swoboda”, a Gminny Ośrodek Kultury w Istebnej przygotował jubileuszowy folder „Jaworzynka. 400 lat tradycji na pograniczu”. (wik)

OSTRAWA

Centrum Krwiodawstwa Szpitala Uniwersyteckiego w Ostrawie zachęca wszystkich zdrowych dawców krwi, by jak najszybciej zgłoszali się do punktów

pobrań. – Operacje znów ruszyły pełną parą, zużycie krwi jest naprawdę wysokie, a zapasy gwałtownie maleją. Ponadto zbliża się lato, a wraz z nim jak co roku wiele wypadków. Dlatego pilnie potrzebujemy wszystkich grup krwi dla naszych pacjentów – apelują medycy. Chętni do oddania krwi mogą się umawiać na konkretną datę i godzinę telefonicznie (800 260 004), e-mailem (krevni.centrum@fno.cz) lub on-line (za pośrednictwem formularza internetowego). Więcej na www.fno.cz/krevni-centrum. (wik)

Iskiej w Pradze



Fot. ARC Ambasady RP w Pradze

roku polskich symboli patriotycznych, św. Jadwigi oraz najważniejszych wydarzeń z historii szkoły.

W czasie uroczystości, w imieniu organizacji polonijnej „TramPOLina” Karolina Głabińska odebrała ponadto Odznakę Honorową „Meritis Pro Familia”, przyznawaną przez ministra rodziny i polityki społecznej. „TramPOLina” wspiera polskie rodziny osiedlające się w Pradze i okolicach. Służy

one podziękowaniem za bardzo dobre wyniki w nauce oraz udział w konkursach, które dotyczyły w tym

oraz organizuje wydarzenia promujące polską kulturę, edukację i obyczaje.

84

tegorocznych uczniów klas 9. rozpocznie we wrześniu naukę w trzech klasach Polskiego Gimnazjum im. Juliusza Słowackiego w Czeskim Cieszynie.

Do egzaminów wstępnych, które odbywały się w dwóch terminach – normalnym i zastępczym, przystąpiło 110 osób. Nie zdały trzy z nich. Ponieważ uczniowie równocześnie zgłaszali się do dwóch szkół średnich, nie wszyscy ostatecznie zdecydowali się na zapisanie się do Polskiego Gimnazjum. Niezależnie od tego po wakacjach liczba uczniów w szkole podniesie się o 8. W tym roku szkolnym zdawało bowiem maturę tylko 76 czwartoklasistów.

(sch)

Kto da więcej?

Rower, sprzęt kempingowy lub gitara oraz inne rzeczy zostaną wylicytowane w poniedziałek na dziedzińcu bogumińskiego ratusza. Do nabycia będzie ok. 100 rzeczy znalezionych, głównie z pociągów, które mają w Boguminie stację końcową. Zguby trafiają później do ratusza i są tam przechowywane przez trzy lata. Jeśli w tym czasie nikt się po nie nie zgłosi, miasto wystawia je na licytację. – Z naszych doświadczeń wynika, że jeśli właściciel nie przyjdzie odebrać zguby w ciągu pierwszych kilku dni, potem nie przychodzi już wcale – przekonuje kierowniczka wydziału organizacyjnego Urzędu Miejskiego w Boguminie Mirka Šmidová.

Ponieważ wśród zapomnianych przedmiotów są zarówno rzeczy wartościowe, jak np. namiot z nadmuchiwymi karimatami i śpiworem, dziewięć rowerów, instrumenty muzyczne, zegarki, czytnik książek i wiele innych, jak i osobiste drobiazgi typu książka, portmonetka, etui na okulary lub nocnik, ceny wywoławcze wahają się od 10 koron do nawet kilkuset.



• Tak wyglądała licytacja przed rokiem. Fot. UM w Boguminie/PAVEL CEMPEL

Kto chce wziąć udział w dorocznej bogumińskiej aukcji i stać się nabywcą którejś ze zgub, powinien zabrać z sobą gotówkę. Wylicytowany przedmiot należy bowiem od razu opłacić. – Licytacje rzeczy znalezionych organizujemy od wielu lat i zawsze cieszą się one niezwykłym powodzeniem wśród mieszkańców. Są tacy, którzy przychodzą tylko zobaczyć, ale mamy też doświadczonych licytatorów, którzy regularnie podbijają cenę – dodaje pracownica ratusza. Rzeczy wystawione na licytację można będzie obejrzeć bezpośrednio przed rozpoczęciem aukcji w godz. 14.15-14.30. Nabyte przedmioty nie podlegają reklamacji. (sch)

Ksiądz zrezygnował z posługi

Policja otrzymała zawiadomienie o popełnieniu przestępstwa przez jednego z karwińskich księży katolickich. Według mało znanej gazety internetowej Domacioviny.cz, która jako pierwsza poinformowała o tym fakcie, miało chodzić o molestowanie seksualne 20-letniego ministranta. Duchowny nie czuje się winny, pomimo to złożył rezygnację.

– Otrzymałmśmy informację, że złożono zawiadomienie o popełnieniu przestępstwa przez jednego z księży diecezji ostrawsko-opawskiej. Ksiądz ten następnie zrezygnował ze wszystkich sprawowanych funkcji. Administrator diecezji, bp Martin David przyjął jego rezygnację i zawiesił go w obowiązkach duszpasterskich. Sprawę bada Policja RC, z którą ksiądz współ-

pracuje, a równocześnie wszczęto postępowanie wewnętrzkościelne. Ze względu na to, że śledztwo jest na samym początku, nie można podać bliższych informacji – napisał w oficjalnym stanowisku Pavel Siuda, rzecznik diecezji ostrawsko-opawskiej.

Policja poinformowała w czwartek, że na razie nikomu nie postawiono zarzutów.

– Policja kryminalna zajmuje się podejrzeniem popełnienia przestępstwa przeciwko obyczajowości, do którego miało dojść w czerwcu w powiecie Karwina – powiedziała funkcjonariuszka naszej gazecie, nie podając żadnych szczegółów. Dodała, że może chodzić o przestępstwo podlegające karze pozbawienia wolności na czas nie krótszy niż 5 lat. (dc)

Chcą uniwersytetu

Hawierzów ma ambicje stać się miastem uniwersyteckim. Jednym z pierwszych kroków, który ma do tego doprowadzić, jest podpisanie memorandum o współpracy między Miastem Statutowym Hawierzów i Wyższą Szkołą PRIGO.

Uczelnia jest organizacją pozarządową, która ma swoją siedzibę w Hawierzowie przy ulicy Nezvala. Studentom oferuje m.in. studia licencjackie i magisterskie na wielu różnych kierunkach. – Nasza szkoła chce w niedalekiej przyszłości stać się placówką uniwersytecką i w związku z tym wybudować na terenie miasta centrum naukowo-badawcze i innowacyjne połączone z eksperymentalnym laboratorium nauk społecznych. Cieszy nas, że miasto wspiera nas w tych działaniach. Zobowiązaliśmy się, że będziemy wspólnie starać się o pozyskanie nowych pracowników akademickich, naukowców i studentów, w tym również zagranicznych, którzy zechcieliby zamieszkać w Hawierzowie na stałe – przybliżyła zasady współpracy



• Rektor Zuzana Machowa i prezydent Josef Bělca podpisują memorandum o współpracy w sprawie uniwersytetu. Fot. PETR SZNAPKA – UM Hawierzowa

rektor Wyższej Szkoły PRIGO Zuzana Machowa.

– Ze względu na usytuowanie geograficzne, infrastrukturę, dostępność transportową, koncepcję urbanistyczną i zaplecze rekreacyjne Hawierzów posiada wszelkie predyspozycje do tego, by stać się miastem uniwersyteckim. Powstanie

uniwersytetu przyczyni się do lepszego wykształcenia mieszkańców, rozwoju aktywności twórczych i naukowych, wzrostu potencjału innowacyjnego i przedsiębiorczości oraz obniżenia zarówno strukturalnej, jak i długookresowej stopy bezrobocia – podkreślił z kolei prezydent Hawierzowa Josef Bělca. (sch)

Strażacy doposażeni

Wczoraj strażacy otrzymali od województwa morawosląskiego sprzęt za ponad 120 milionów koron. To m.in. 33 samochody pożarnicze czy urządzenia do monitoringu chemicznego. Województwo kupiło też m.in. lokalizatory pojazdów, trzy namioty pneumatyczne, specjalistyczny samochód do ratowania zwierząt, a także sprzęt potrzebny do bezpiecznej dystrybucji szczepionek. Ochotnicy otrzymają ponadto 50 kompletów aparatów oddechowych, 44



Fot. ARC

przenośne agregaty prądowłórcze, dwa przenośne urządzenia pomiarowe oraz zapas środków ochrony indywidualnej. (wik)

KRESKĄ MALOWANE



Rys. JAKUB MRÓZEK

Szpital jak narkotyk

Pochodzi z Karwiny, będąc dzieckiem przez kilka lat mieszkał w Polsce, a potem razem z rodzicami przeprowadził się do Karniowa. U jego babci w Lutyni Dolnej zawsze leżał na stole „Głos Ludu”. Rozmowę z dyrektorem Szpitala Trzyniec Jiřim Veverką rozpoczynamy od korzeni.

Beata Schönwald

Jest pan z wykształcenia ekonomistą. Medycyna to bądź co bądź odległa branża?

– Teoretycznie tak, choć w moim przypadku to nie do końca prawda. Od dzieciństwa poruszałem się w środowisku lekarskim. Mieszkaliśmy naprzeciwko szpitala, tato był lekarzem, a mama pielęgniarką. Sekcje zwłok były tematem, który często towarzyszył nam w... trakcie obiadu. Kiedy jednak widziałem, jak tato wyczerpany wracał do domu po dyżurach, a były czasy w szkole średniej, kiedy się tylko mijaliśmy, pomyślałem, że zamiast zostać lekarzem, zostanę raczej dyrektorem. Z drugiej strony szpital był dla mnie jak narkotyk. Pracowałem tam w czasie wakacji, a kiedy miałem przerwę w studiach, zatrudniłem się jako sanitariusz. Ojciec zawsze mawiał, że dobrze zrobiłem, wybierając ekonomię zamiast medycyny, bo tak czy owak pewnego dnia zostanę dyrektorem. Nie doczekał już tego, zmarł przed dwudziestu laty.

Kiedy się rozpoczęło to pana dyrektowanie?

– To był 2003 rok i szpital w Bruntału. Wcześniej pracowałem w spółkach handlowych działających w branży medycznej. Byłem przedstawicielem handlowym na Czechy, Słowację i Polskę, na bieżąco miałem więc kontakt z językiem polskim, a będąc w centrali w Krakowie zatrzymywałem się u ciotki w Skawinie. W pewnym momencie miałem już jednak dosyć podróży, no i trafiłem do szpitala w Bruntału. Nie zagrzałem tam jednak długo miejsca, bo przyszyły wybory wojewódzkie i zostałem zastępcą hetmana ds. służby zdrowia. To był ciekawy okres, kiedy województwo przejmowało szpitale od państwa. Te doświadczenia wykorzystałem później w zarządzaniu szpitalami publicznymi. Jednym z nich była placówka w Zlinie, chyba najlepsza z moich posad. Początkowo traktowano mnie tam co prawda jak obcego, ale kiedy wyszło na jaw, że mój dziadek był dyrektorem handlowym w przedsiębiorstwie Bati, od razu zyskałem w ich oczach szacunek. To trochę podobnie jak w Trzyncu, gdzie też liczą się korzenie. Wcześniej jednak był jeszcze szpital w Pilźnie.

A nie mówił pan, że miał być koniec z podróży?

– Z Pilzna do Karniowa można było wrócić w cztery godziny, to pestka. W międzyczasie dostałem jednak ofertę wyjazdu na Haiti. Po wielkim trzęsieniu ziemi, które nawiedziło ten kraj w 2010 roku, pojechałem budować tam szpital. Pierwotnie była mowa o dwóch tygodniach, ponieważ jednak miałem sprawować nadzór nad funkcjonowaniem tej placówki, w ciągu kolejnych lat wracałem tam jeszcze kilkakrotnie.

Gdzie zastała pana oferta objęcia Szpitala Trzyniec?

– W zarządzie szpitala „Agel” w Bruntału. Tego absolutnie się nie spodziewałem. Znałem dyrektora Mar-



• Jiřim Veverka jest dyrektorem Szpitala Trzyniec od 1 kwietnia br. Fot. Szpital Trzyniec

tina Sikorę i byłem przekonany, że w Trzyncu wytrzyma do emerytury. Jako inżynier w zakresie biomedycyny znałem się zarówno na sprawach medycznych, jak i gospodarczych. Nie wiedziałem tylko, jak to działa w sektorze publicznym.

A jak to działa?

– W sektorze prywatnym dyrektor tworzy koncepcję, planuje kroki, które doprowadzą go do celu, a potem je realizuje. Z racji tego, że ludzie wiedzą, że jest to konieczne, robią to, co trzeba. Z kolei w sektorze publicznym dyrektor bardziej od czynników finansowych musi uwzględnić czynnik ludzki. Zanim przystąpi do działania, musi skonsultować to ze związkami zawodowymi, urzędem wojewódzkim i ludźmi, którzy są na miejscu. Sikora popełnił ten błąd, że chciał przeprowadzić wiele, notabene sensownych zmian, za jednym zamachem. W sektorze prywatnym byłoby to w porządku, władzom wojewódzkim się to jednak nie spodobało.

W jakiej kondycji zastał pan ten szpital?

– Sytuacja ekonomiczna pozostawia co prawda wiele do życzenia, za to opieka medyczna stoi na bardzo wysokim poziomie. Nie spodziewałem się tego. Bałem się, że w parze z nieudolnym zarządzaniem obniżał się również poziom świadczonych usług. Ludzie, którzy tutaj pracują, to lokalni patrioci, którzy mimo wszelkich przeciwności trzymali ten szpital w ryzach.

Kto jest zatem odpowiedzialny za to, że trzyniecki szpital podpadł gospodarczo?

– To problem, który narastał w ciągu ostatnich kilku lat. W tym szpitalu dyrektorzy zmieniali się co kilka miesięcy,

a unia z frydecko-mistecką placówką też nie przyniosła niczego dobrego.

Część pracowników walczyła jednak o dyrektora Sikorę, wysłała petycję do władz wojewódzkich. Jak przyjęli pana?

– Musiałem zdobyć zaufanie ludzi, którzy stali po stronie byłego dyrektora. Ci, którym Sikora nadepnął na odcisk, cieszyli się, że doszło do zmiany i przyjęli mnie z otwartymi ramionami. Jednak dla większości pracowników szpitala tak naprawdę nie ma znaczenia, kto jest dyrektorem. Byli tylko mogli wykonywać swoją pracę, która przynosi

●●●

Jako dyrektor obserwuję ogromny potencjał tutejszych lekarzy. Oni, chociaż komplikują sobie tym życie, przychodzą z nowymi pomysłami, chcą się rozwijać, robić nowe rzeczy, ponieważ są przekonani, że potrafią im podoląć

im satysfakcję. W służbie zdrowia jest o tyle komfortowa sytuacja, że pracują w niej osoby myślące, wykształcone. Mają co prawda swój pogląd i nie boją się go wyrazić, ale potrafią też zrozumieć argumenty drugiej strony. Ja, ponieważ wyrastałem w tym środowisku, rozumiem z kolei ich racje, których zwykły ekonomista nie zrozumie.

W czym tkwi specyfika tego szpitala?

– Ten region, mam na myśli teren od Bogumina po Mosty koło Jabłonkowa, jest specyficzny w tym najlepszym słowa znaczeniu. Jego mieszkańcy są wrośnięci w tę ziemię, co powoduje, że wielu młodych ludzi, którzy kończą medycynę, tu wraca. Jeszcze zanim zostałem dy-

rektorem tego szpitala, byłem tu kilkakrotnie i za każdym razem zaskakiwało mnie podejście tutejszych ludzi. Raz stałem przed tablicą orientacyjną, a tu słyście pytanie, czy nie potrzebuję pomocy. Ludzie, nie znając mnie, automatycznie mówili do mnie „dzień dobry”. W Pilźnie o czymś takim nie ma co marzyć. Jako dyrektor obserwuję też ogromny potencjał tutejszych lekarzy. Oni, chociaż komplikują sobie tym życie, przychodzą z nowymi pomysłami, chcą się rozwijać, robić nowe rzeczy, ponieważ są przekonani, że potrafią im podoląć.

W jakim kierunku chce pan rozwijać ten szpital?

– Obecnie jesteśmy na etapie aktualizowania strategii szpitala, która ma być gotowa do końca lipca. Dziedziny, które chcemy rozwijać, to przede wszystkim chirurgia, ortopedia, pediatria, porodówka, interna i rehabilitacja. Szpital, który się nie rozwija, nie ma bowiem pieniędzy na nowy sprzęt, a kiedy nie ma nowego sprzętu, nie pozyska nowych lekarzy, którzy chcą pracować na nowoczesnych urządzeniach. Bez lekarzy nie ma natomiast rozwoju. Tu koło się zamyka.

Na rozwój trzeba pieniędzy. Skąd pan je weźmie, skoro placówka przynosi straty?

– W przypadku szpitali publicznych plusem jest to, że pieniądze na inwestycje daje województwo, które ma ustawowy obowiązek zapewnienia dostępnej opieki lekarskiej we wszystkich podstawowych dziedzinach. Prócz tego istnieją możliwości pozyskania środków z budżetu państwa oraz budżetu europejskiego. Trzeba tylko wiedzieć jak. W tym celu zatrudniłem eksperta, który trzyma rękę na pulsie i na bieżąco informuje nas o odpowiednich programach, z których moglibyśmy otrzymać dodatkowe fundusze.

Jakie inwestycje szykują się zatem w tym szpitalu?

– W pierwszej kolejności będzie to remont oddziału rehabilitacji. Musimy go poszerzyć, ponieważ trafiają na niego pacjenci z wielu innych oddziałów – chirurgii, ortopedii, neurologii czy pediatrii. Chcemy przeprowadzić remont pokoi oraz powiększyć zaplecze tak, żeby można było stosować nowe metody rehabilitacji. Większych pomieszczeń wymaga również nasze centrum krwiodawstwa. Zwłaszcza teraz, w czasie pandemii, przekonaliśmy się, jak ważne jest zapewnienie naszym dawcom odpowiedniej przestrzeni i komfortu. Aby sprostać tym wymaganiom, postanowiliśmy powiększyć jedno skrzydło szpitala. Z jednej strony będzie chodziło więc o kosztowną inwestycję, z drugiej jednak rozwój tych oddziałów przyniesie wymierne zyski. Mamy też inne plany. Należą do nich np. remont oddziału gastroenterologii, który chociaż działa w skrajnie nieodpowiednich warunkach, ma bardzo dobre wyniki oraz wybudowanie centralnej izby przyjęć, która będzie prawdopodobnie największą inwestycją w historii trzynieckiego szpitala. ▲

GŁOSIK



E-mail: danuta.chlup@glos.live

Pisząc do nas, podaj swój wiek, klasę i adres szkoły, do której uczęszczasz. Prosimy o nadsyłanie listów o objętości do 2000 znaków ze spacjami.

W góralskich strojach, na łonie natury

Dzieciom z polskiego przedszkola w Łomnej Dolnej można pozazdrościć pięknego otoczenia. Góry, łąki, rzeczka... Nic dziwnego, że nauczycielki zdecydowały się zrobić swoim podopiecznym sesję fotograficzną w plenerze – w dodatku w pięknych strojach góralskich.



• Muzeum i jego otoczenie były wspaniałą sceną do zdjęć w strojach ludowych. Zdjęcia: ARC przedszkola

Danuta Chlup

Do łomnińskiego przedszkola uczęszcza 18 dzieci. W przyszłym roku szkolnym będzie ich tyle samo, ponieważ awansująca do szkoły czwórka starszaków zostanie zastąpiona nowym narybkiem.

„Dziwny” rok szkolny, który właśnie się kończy, uniemożliwił organizację imprez lubianych przez dzieci, nauczycielki, rodziców i dziadków. Ale panie nauczyciel-

ki wierzą, że wszystko złe już za nami i będzie tylko lepiej!

Z racji tego, że nie odbył się tradycyjny festyn, ubraliśmy się przynajmniej w stroje góralskie do wspólnej sesji zdjęciowej w plenerze. Dzieci miały okazję zapoznać się z tradycyjnym strojem, który dawno temu nosili nasi przodkowie. Bawiliśmy się i śpiewaliśmy „gorolskie” piosenki. Dzieci wypróbowały, jak darto pierze na „szkubaczkach”. Odwiedziliśmy sąsiadujące z

przedszkolem muzeum, które jest repliką łomnińskiej szkoły – opisała góralski dzień w przedszkolu kierowniczka Małgorzata Bocek.

Pogoda sprzyjała, sesja zdjęciowa była więc nader udana. Trzeba pochwalić panie nauczycielki, że zrobiły dzieciom tak ładne zdjęcia na pamiątkę.

Galerię zdjęć przedszkolaków z Łomnej – obok muzeum i na łące – można obejrzeć na naszej stronie internetowej www.glos.live. ▲



Kierunek szkoła

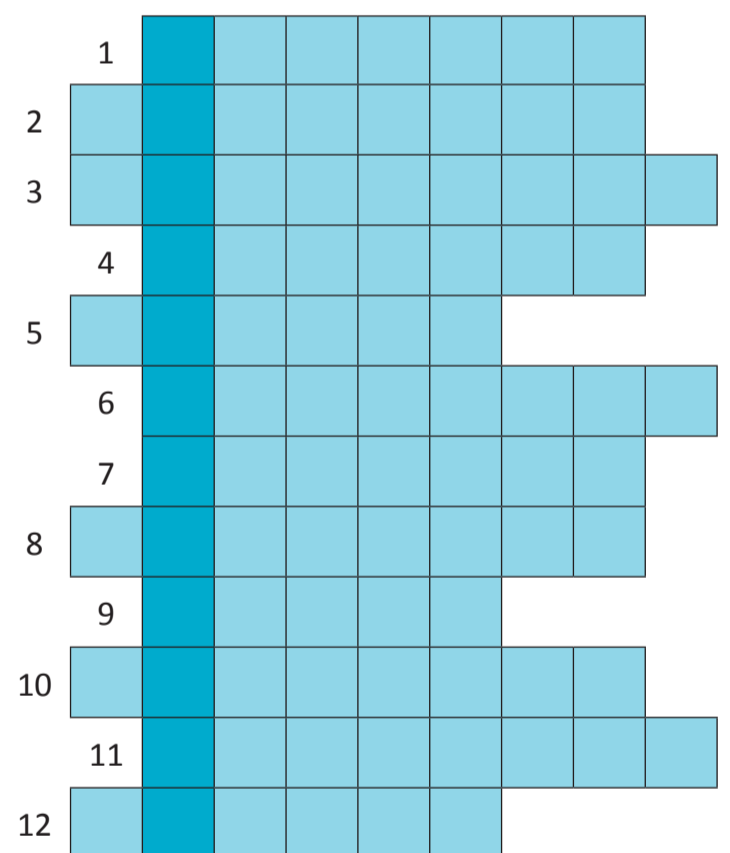
Z łomnińskim przedszkolem żegna się czwórka starszaków: Marian Kajzar, Sylwia Szczuka, Anielka Jakubek i Matyáš Sikora. O każdym z tych dzieci powiemy Wam coś ciekawego.

Maryś lubi statki, zna historie słynnych statków, które zatonęły, ma dużo wiedzy na ich temat. Może zostanie kiedyś kapitanem. Dzieci bardzo lubią zabawy z Maryśkiem... Sylwia troszczy się o wszystkich naokoło, sprawia, że w przedszkolu panuje przyjazny i spokojny klimat. Anielka już umie czytać. Swoim kolegom i koleżankom w przedszkolu pomogła już w rozwiązaniu niejednej zagadki. Matyášek pomaga młodszym i wymyśla wspaniałe zabawy, dzieci bardzo lubią się z nim śmiać.

KRZYŻÓWKA MORSKA

Przed nami wakacje. Niektórzy z Was wyjadą zapewne nad Bałtyk. Z polskim morzem związana jest dzisiejsza krzyżówka. Rozwiązaniem dodatkowym jest nazwa jednej z miejscowości na Wybrzeżu. Przeczytacie ją pionowo na ciemniejszym tle. Podpowiadamy, że przy rozwiązywaniu niektórych haseł przyda Wam się mapa. Rozwiązania wysyłajcie na adres mailowy: danuta.chlup@glos.live, w terminie do 7 lipca. Nagrodę książkową za poprzednią krzyżówkę otrzymuje **Agata Aya Jadamus z Nachodu**. Hasło brzmiało: KUKULECZKA.

1. Mała wyspa
2. W kolorze złota
3. Przymiotnik od rzeczownika Kaszubi
4. Nadmorskie Darłówko wchodzi w skład większego....
5. Zarabiają na życie połowem ryb
6. Zakład, w którym buduje się i remontuje statki
7. Składa się z metalowych ogniw, można nim przymocować różne rzeczy
8. Pracownik latarni morskiej
9. Najdłuższa polska rzeka. Wpada do Bałtyku
10. Szwedzka wyspa położona najbliżej polskiego wybrzeża (sprawdź na mapie)
11. Pas ziemi ciągnący się wzdłuż morza
12. Bardzo ciepły, upalny



WITAMY

Diana Danel

urodziła się 21 maja w szpitalu w Karwinie rodzicom Ewie i Markowi Danelom. Tuż po urodzeniu ważyła 2870 g i mierzyła 48 cm. W domu, także w Karwinie, czekała na nią starsza siostrzyczka Ella. Imię dla Diany wybrali rodzice, bo po prostu

im się podobało. Jest krótkie i brzmi jednakowo w języku polskim i czeskim. Zdjęcie nowo narodzonej dziewczynki nadesłał pradziadkowie z Karwiny. Imię Diana ma łacińskie pocho-



Fot. ARC rodziny

dzenie. Diana była w mitologii rzymskiej boginią łowów, księżycą, opiekunką płodności, lasów i zwierząt. Współcześnie najbardziej znaną osobą o tym imieniu była Diana, księżna Walii. (dc)

POP ART

318

Janusz Bittmar

Moby i jego nowa płyta oraz festiwal Dolański Gróm i związany z nim konkurs dla czytelników „Głosu”. Dwa tematy w najnowszym Pop Arcie. Zapraszam do lektury.

RECENZJE

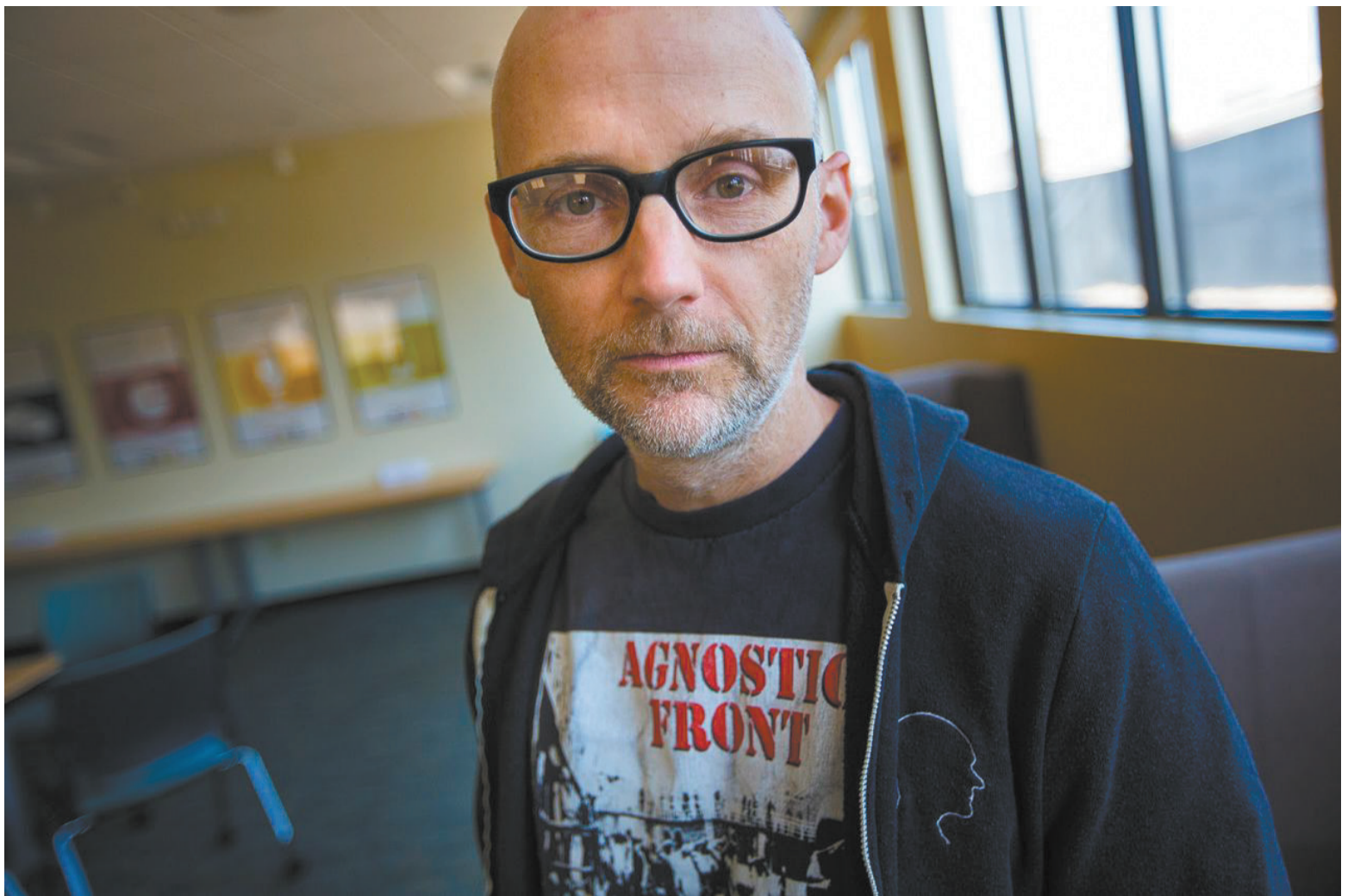
MOBY – Reprise



Zawsze zastanawiałem się, komu – oprócz DJ-ów i weselnych grajków – potrzebne są płyty z największymi przebojami konkretnego artysty lub grupy muzycznej. No bo tak: koneseryzy przywykli do słuchania albumów w całości, od pierwszej do ostatniej nuty, sami zrobią sobie w domu czy w samochodzie prywatną listę ulubionych kawałków, a wręczane na tacy płyty „The Best Of” czy „The Greatest Hits” w czasach serwisów streamingowych w zasadzie nie mają prawa dobrze się sprzedawać. Kiedy jednak podejź się do tematu sprytnie, z lekką nutką dekadencji, powstaje produkt genialny. Trzeba tylko wiedzieć, jak się za to zabrać.

Moby, a właściwie Richard Melville Hall, swoje największe przeboje zlecił niemieckiej wytwórni Deutsche Gramophon specjalizującej się w muzyce poważnej. Jeden z najbardziej opiniotwórczych DJ-ów, kompozytor muzyki filmowej, zagorzały weganin, pisarz, fotograf, żeby nie zanudzać – po prostu człowiek orkiestra – po raz pierwszy w karierze w pełni zaufał innym. Efekt jest oszałamiający. Album „Reprise” z utworami zaaranżowanymi i zagrany przez Budapest Art Orchestra jest nie tylko frapującym przekrojem twórczości Moby’ego. To nowa definicja „odgrzewania kotletów”. Taka, której nie powstydziliby się Gordon Ramsey czy mój ulubiony polski kreator dobrej kuchni, Robert Makłowicz.

„Reprise” została oczywiście sporządzona z najlepszych ingrediencji. Moby wybrał swoje najbardziej znane utwory, zapraszając do kuchni przyjaciół z na pozór odmiennych biegunów muzycznych. Mamy więc kooperację z wokalistą jazzowym Gregorem Porterem („Natural Blues”), smutasem rockowym Markiem Laneganem („The Lonely Night”) czy pianistą Vikingurem Ólafssonem. Ewo-



lucja znanych utworów z kultowych albumów Moby’ego jest niesamowita. Słuchając płyty po raz pierwszy miałem wrażenie, że te nowe aranżacje są nawet lepsze od oryginału. Z każdym kolejnym przesłuchaniem utwierdzałem się w tym przekonaniu. To zasługa symfonicznego kopniaka wymierzonego dokładnie w krzywą popytu i podaży. Wielbiciele twórczości Moby’ego słuchają tej płyty z wypiekami na twarzy, jak gdyby pierwszy raz odkrywali takie perełki, jak „Why Does My Heart Feel So Bad” z albumu „Play” (1999), najsłynniejszego w dyskografii amerykańskiego muzyka. „Reprise” ma jednak ambicje zaciekać również tych, którzy do tej pory przechodzili wokół Moby’ego obojętnie. Poleciłbym im chociażby świetną przeróbkę utworu z teczki Davida Bowiego, poruszającego nawet po 43 latach tematu „Heroes”. W wersji Moby’ego i Budapest Art Orchestra, z gościnnym udziałem wokalistki Mindy Jones, ta piosenka

nabiera zupełnie innej mocy. Jest tłem do miłosego tańca motyli, znacznie mniej szorstka od pierwowzoru.

Kapitalnie brzmi też jeden z moich długoletnich faworytów z muzycznej teczki Moby’ego – piosenka „Extreme Ways” usłyszana po raz pierwszy w kinie podczas projekcji szpiegowskiego thrilleru „Dziedzictwo Bourne’a” z Mattem Damonem w roli głównej. Pamiętam, że usłyszawszy ten elektroniczny galop po raz pierwszy, szczeka opadła mi bardziej niż po zobaczeniu filmu. A teraz? Jest równie efektownie, ale podobnie jak w przypadku reszty kompozycji zawartych na „Reprise” – znowu inaczej. W oryginale utwór „Extreme Ways” pędzi do przodu niczym japoński pociąg ekspresowy, kresząc szybkie tempo akcji, z jaką musiał się zmierzyć Matt Damon. W nowej wersji słychać echa The Beatles, jest intymniej, ale wcale nie gorzej.

Moby zmartwiony zwiariowanym tempem współczesnej cywilizacji, co

zresztą podkreśla we wszystkich wywiadach, chciał pewnie celowo na tej płycie zwolnić. Tak przypuszczam, bo sam artysta nie potwierdził tych słów, ale wystarczy posłuchać wszystkich 14 kompozycji zamieszczonych na albumie „Reprise”. Włącznie ze wspomnianym „Why Does My Heart Feel So Bad”, w którym już tak leniwe tempo zostało jeszcze mocniej przyduszone. Polecam też nowy teledysk do tego utworu. Animowany główny bohater Little Idiot (alter ego muzyka) pozostał, obrazkowa paleta metafor określających problemy współczesnego świata powiększyła się niemiernie do... granic wytrzymałości. Ale taki już jest po prostu Moby, a właściwie Richard Melville Hall.

Album „Reprise” tylko z nazwy jest powtórką. Powstała jedna z najlepszych płyt 2021 roku, a może najlepsza? Zobaczymy, trochę czasu w końcu jeszcze pozostało. ▲

Z »GŁOSEM« NA DOLAŃSKI GRÓM

Jeśli nie dojdzie do kataklizmu, za dwa miesiące – w piątek 27 sierpnia – odbędzie się zaległy festiwal muzyczny Dolański Gróm 2020, z nową datą 2021. Do głównych gwiazd jednodniowego festiwalu w Parku Bożeny Němcovej w Karwinie należą Ewa Farna oraz szkocki muzyk Ray Wilson, znany ze współpracy z brytyjską legendą art rocka – formacją Genesis. Wcześniej zagrają dla publiczności polskie zespoły Cheap Tobacco i Chevy z Łukaszem Drapałą. W tym numerze Pop Artu prezentujemy sylwetkę Raya Wilsona, który zgodnie z ustalonym już w zeszłym roku harmonogramem festiwalu zagra na zakończenie imprezy.

Jego występ został nazwany „Genesis Classic” nie bez powodu – Szkot zaprezentuje w klimatycznym miejscu karwińskiej przystani na tyłach Parku Bożeny Němcovej największe hity brytyjskiej legendy art rocka. Ray Wilson z formacją Genesis nagrał tylko jeden album studyjny – świetny „Calling All Stations” (1997), na którym znalazły się takie przeboje, jak tytułowy „Calling All Stations”, „Congo” czy „Not About Us”.

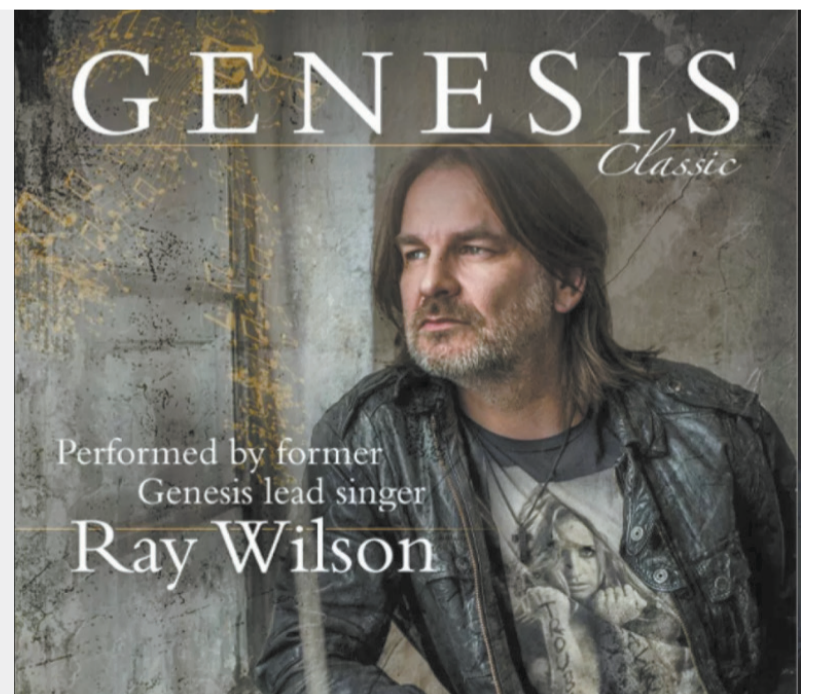
Fani Genesis, którzy najpierw z trudem zaakceptowali zmianę za mikrofonem swojej ulubionej grupy, po zapoznaniu się z płytą przyjęli Wilsona w swoje szeregi z otwartymi ramionami. Niestety „Calling All Stations” to ostatnia studyjna płyta w dyskografii brytyjskiej grupy znajdującej się od kilkunastu lat w stanie muzycznej hibernacji. Nad Wisłą „Calling All Stations” zdobyła statut „złotej płyty”, a Ray Wilson tak pokochał Polskę, że postanowił w niej zamieszkać na stałe. Przygotujcie się więc nie tylko na świetną muzykę, ale też śmieszne zaczepki muzyka wypowiedane ze sceny w języku polskim.

Organizatorzy z Miejscowego Koła Polskiego Związku Kulturalno-Oświatowego w Karwinie-Frysztacie przygotowali dla czytelników „Głosu” trzy podwójne karnety. Wystarczy wziąć udział w naszej zabawie, którą co dwa tygodnie – z nowymi pytaniami – powtórzymy w rubryce Pop Art. Szczęście sprzyja odważnym!

PYTANIE NR 1

Proszę podać nazwiska pozostałych wokalistów grupy Genesis.

Na odpowiedzi czekamy do następnego wydania Pop Artu za dwa tygodnie. Adres: info@glos.live.



DOLAŃSKI GRÓM PARTNER FESTIWALU

ZAPRASZA / ZWE PZO KARWINA-FRYSZTAT

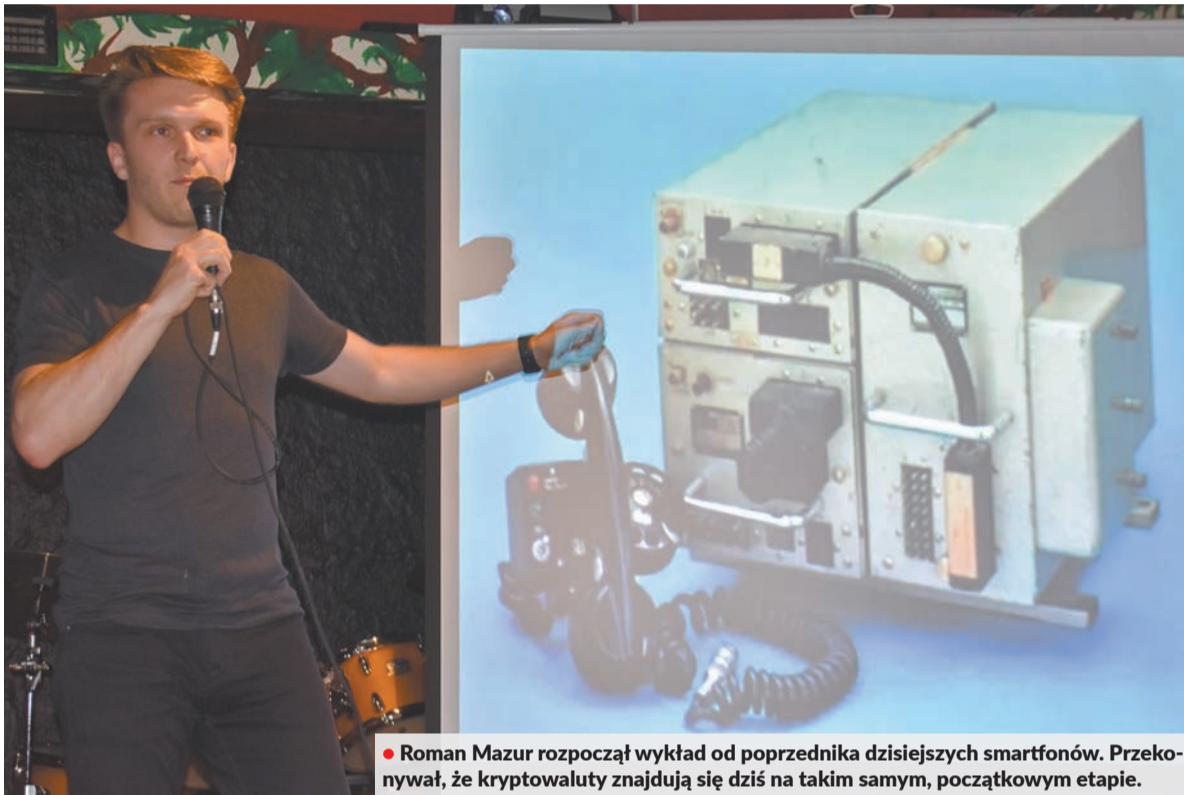
27.8.2021

BILETY / VSTUPENKY
TICKETPORTAL.CZ

KARWINÁ - LODÉŇICE
KARWINA - PRYZSTÁN **16:00**

Wirtualny pieniądz ma przed sobą przyszłość

Kryptowaluty są pojęciem, które większości osób obito się o uszy, lecz tylko nieliczni wiedzą dokładnie, skąd się one biorą i jak cały ten system działa. Roman Mazur, który w ub. tygodniu wygłosił na ten temat prelekcję w Klubie „Dziupla” w Czeskim Cieszynie, zaczął więc od podstaw.



• Roman Mazur rozpoczął wykład od poprzednika dzisiejszych smartfonów. Przekonywał, że kryptowaluty znajdują się dziś na takim samym, początkowym etapie.

Danuta Chlup

Wykład nt. kryptowalut, czyli walut wirtualnych, był pierwszym z serii wydarzeń realizowanych przez założony w Czeskim Cieszynie Coworking Smetana. Mariola Kadłubiec, która prowadzi go wraz z mężem Jakubem, zapowiedziała, że będą kolejne spotkania z młodymi ludźmi z Zaolzia, którzy zajmują się czymś ciekawym, niecodziennym, mają jakąś specyficzną wiedzę, którą chętnie podzielą się z innymi.

– Kto z obecnych posiada jakąś kryptowalutę? – interesował się Roman Mazur, rozpoczynając prelekcję. Zgłosiła się co najmniej połowa obecnych. Pomimo że na spotkanie przyszli przeważnie ludzie młodzi, często tacy, którzy zetknęli się z kryptowalutami, prelegent postanowił przybliżyć świat wirtualnego pieniądza w jak najbardziej przystępny sposób.

Kolejny etap digitalizacji

Zaczął od „prehistorii”, czyli od urzędzenia, które było poprzednikiem dzisiejszych telefonów komórkowych. Skonstruowano go w firmie Ericsson i wprowadzono na rynek w 1956 roku. Pierwszy mobilny telefon ważył 40 kilogramów, kosztował tyle co samochód, a liczba numerów, które mógł obsługiwać, ograniczała się do stu.

Na przykładzie „staruszka Ericsona” Mazur starał się pokazać, że kryptowaluty są dziś mniej więcej na takim samym poziomie rozwoju, na jakim była telefonia komórkowa w erze tego urzędzenia.

– Telefony komórkowe, jak i kryptowaluty są częścią digitalizacji, która jest ogólnym trendem nowoczesnego świata, w którym żyjemy. Proces ten rozpoczął się

już w latach 50 ub. wieku. Kryptowaluty na czele z bitcoinem to tylko następny krok digitalizacji, tym razem pieniędzy – przekonywał. Zwrócił uwagę na różnicę pomiędzy powszechnie dziś używaną bankowością internetową, która dotyczy obiegu realnych pieniędzy znajdujących się w bankach, a kryptowalutą, która nie ma pokrycia w realnych pieniądzach. Zwrócił uwagę na różnicę pomiędzy powszechnie dziś używaną bankowością internetową, w której pośrednikiem pomiędzy użytkownikiem a pieniędzmi jest bank, a kryptowalutą, w przypadku której użytkownik bezpośrednio wykonuje transakcje.

Problem podwójnych wydatków

Temat cyfryzacji pieniędzy zaczął zaprzętać umysły naukowców już w latach 80 ub. wieku. Minęło jednak wiele lat, nim udało się rozwiązać podstawowy problem – podwójnych wydatków. Na czym on polegał?

Otóż waluta wirtualna jest takim samym plikiem elektronicznym jak każdy inny, a wiadomo, że pliki można powielać. O ile zatem w przypadku klasycznej monety wędruje ona z jednej ręki do drugiej, o tyle posiadacz kryptowaluty mógłby ją zachować także wtedy, gdy przekazałby ją innej osobie. Trzeba było zatem opracować system, który by to uniemożliwił.

– Różni matematycy, kryptografowie starali się wymyślić digitalny pieniądz, który można wysłać i po wysłaniu już go nie posiadać – mówił Roman Mazur. – Dopiero w 2009 roku udało się znaleźć rozwiązanie. Pojawiła się analiza naukowa pn. „Bitcoin – elektroniczny system pieniężny” podpisana przez Satoshi Nakamoto.

To pseudonim autora lub też autorów, którzy nigdy nie ujawnili swojej tożsamości. Na dziewięciu stronach szczegółowo technicznie wytłumaczyli, jak funkcjonuje system i jak radzi sobie z problemem podwójnych wydatków. Był to rewolucyjny system.

Górnicy »kopią« wirtualny pieniądz

Jedną z podstawowych różnic pomiędzy bitcoinem a klasyczną walutą polega na tym, że nie jest on emitowany przez żaden bank centralny, lecz „wydobywany” albo też „kopany” przez różnych „minerów” czyli „górników”. Jego podstawową cechą jest zatem decentralizacja. Maksymalna liczba bitcoinów zapisana jest od początku w systemie i wynosi 21 mln.

– Ten system działa od dwunastu lat. Na razie udało się „wydobyć” 18,5 mln bitcoinów. Do dziś żadnym hackerom nie udało się przełamać tego systemu – podkreślił Mazur.

Co należy sobie wyobrazić pod „kopaniem” bitcoinów? Kim są wydobywający go „górnicy”? Mówiąc w dużym uproszczeniu, wydobywanie bitcoinów polega na poszukiwaniu pasującego ciągu znaków zwanego hash. Hash jest potrzebny do połączenia w jeden łańcuch kolejnych bloków informacji zawierających zapisy o zawartych transakcjach oraz środków będących w posiadaniu poszczególnych użytkowników. Chodzi zatem o obliczenia matematyczne wykonywane przez komputery o wysokiej wydajności. Z tym wiąże się zarzut, że wydobywanie bitcoinów pochłania bardzo dużo energii i wobec tego nie jest ekologiczne. Przekonanie to ma wpływ na wahania wartości rynkowej kryptowaluty.



•••
Kiedy zakładaliśmy Coworking Smetana, chcieliśmy nie tylko stworzyć miejsce do pracy, ale także do spotkań, do dzielenia się ciekawymi pomysłami i tematami. Lista osób na Zaolziu, które na co dzień zajmują się czymś niecodziennym, jest bardzo długa, myślę więc, że mamy material na wiele wspólnych wieczorów

Mariola Kadłubiec



• Wykładu przyszli posłuchać głównie rówieśnicy prelegenta. Zdjęcia: DANUTA CHLUP

Jak zmienia się wartość bitcoina?

Wahania kursu bitcoina możemy obejrzeć na zamieszczonym obok artykułu grafie. W 2014 roku 1 bitcoin kosztował 100 dolarów amerykańskich. W styczniu br. jego cena wynosiła 64 tys. dolarów. Jego wartość niesamowicie wzrosła.

– Pieniądz elektroniczny jest czymś zupełnie odmiennym do tego, co znaliśmy do tej pory. Na wzrosty i spadki jego wartości mają m.in. wpływ opinie na jego temat, to, co pisze się o nim w mediach, nastawienie społeczeństwa. Jeżeli większość ludzi przyjmie za fakt, że bitcoin jest użyteczny, jego wartość będzie rosła, w przeciwnym razie będzie spadała – mówił Mazur.

Prelegent poświęcił najwięcej uwagi bitcoinowi, lecz wspominał także o nowszym systemie – Ethereum. W 2014 roku przedstawił go 19-letni wówczas Vitalik Buterin, będący dziś najmłodszym miliarderem na świecie. Jego system jest kolejnym etapem digitalizacji pieniądza. W obiegu są dziś tysiące wirtualnych walut, ale tylko niektóre są powszechnie znane.

Roman Mazur zachęcał obecnych, aby zainteresowali się kryptowalutami i zaczęli się kształcić w tym kierunku. Kryptowaluty mają dziś na celu zmienić jeden z najstarszych systemów na świecie – system pieniężny i bankowy, warto zatem być przy tym.

Kim jest Roman Mazur?

Na fanpage'u Coworkingu Smetana czytamy, że jest historycznie pierwszym jego członkiem. Pochodzi z Milikowa. Po maturze w Polskim Gimnazjum w Czeskim Cieszynie rozpoczął studia informatyczne w Brnie. Po studiach spędził kilka lat w Pradze i dwa lata w Londynie. Pracował jako programista oraz menedżer produktu, m.in. w znanej wszystkim spółce Microsoft oraz w mniej znanym, lecz równie ciekawym londyńskim startupie Appear Here. Ostatnio jego największą pasją są kryptowaluty. W coworkingu organizuje wspólne bieganiny, czego efektem był udział drużyny Coworkingu Smetana na tegorocznym „Olza Run”.

Święty Jón nad Olzą – szczególnie czas nastał



Noc świętojańska to dzień przesilenia letniego, czyli czas graniczny, kiedy dzień jest najdłuższy, a noc najkrótsza. To czas zawierający w sobie wiele elementów z dwu światów. Naszego, czyli ludzi żyjących, i tamtego, czyli świata ludzi, którzy już odeszli. Do tamtego świata należą najróżniejsze wierzenia, magia i wiara w dobre i złe moce.

Daniel Kadłubiec

Magia i wierzenia

Powszechne było przekonanie, że przed wschodem słońca na św. Jana chodzą czarownice, ciągną za sobą „dzichte”, mówiąc przy tym: „Zbiyrom pożytek, ale nie wszystkim”. Odbierają krowom mleko, wykorzystując do tego roślinę mandragorę.

W tym dniu nie należy nikomu nic pożyczać, bo cały majątek by się rozpułnął. I obcych kobiet nie należy wpuszczać do domu, by nie rzuciły na niego uroku.

Zapobiegawczo, by złe moce nie szkodziły, by nie miały dostępu do domów i chlewów, wtykano koło drzwi, do szpar domów, koło okien i wrót do chlewa gałązki leszczyny (lyski), a nad drzwiami wejściowymi do domostw umieszczano tzw. „świynatego Jóna”, który robiły dziewczyny 23 czerwca. Była to deseczka, do której przymocowywano zioła (m.in. piołun, rosiczkę, szałwię, rutę), a także różyczki z bibuły. To wszystko miało moc ochronną.

W tym samym dniu gazdowie wtykali gałązki leszczyny do każdego rogu uprawnego pola, by je uchronić przed gradem, szkodnikami, właściwie jakimkolwiek kaktlizmem.

Dziewczyny, zbierając zioła, śpiewały np. „Chodziło dziwczóntko po wysokim gróniu”, „Doliny, doliny, doliny...”.

Kany się przechodzi mój miły, hore dolineczkym, zbiyro zielineczkym na mojom bolesnym głowiczkym. Ni ma to zielinka do głowy ani to zielinka na rany, zielineczkym zbiero, na jinszóm spoziyro, przecas ty, mój miły, faleszny. Zielineczkym zbiyro, na jinszóm spoziyro, przecas ty, mój miły, faleszny.

Idym do świynatego Jana, aby mi posłół galana

Wróżyły też dziewczyny swoją przyszłość matrymonialną. Znałe jest u nas puszczanie wianków na wodę, ale jest też inny zwyczaj: dziewczyna stoi tyłem odwrócona do drzewa (najlepiej iglastego) i rzuca przez głowę na nie wianek. Jeżeli się uczepli za pierwszym razem, dziewczyna do roku wyjdzie



Zdjęcia: NORBERT DĄBKOWSKI

za mąż, jeżeli za drugim razem, to za dwa, jeżeli za trzecim razem... Może próbować do dziesięciu razy.

Jeżeli były gdzieś figury przydrożne św. Jana, to podchodziły do nich w wieczór 23 czerwca dziewczyny ze słowami: „Idym do świynatego Jana, aby mi posłół galana”. Prośba taka była nieraz wysłuchana, co tylko umacniało przekonanie o jej skuteczności.

Moce – dobre i złe – tracą siłę 24 czerwca

Ważne było to, że zioła miały swoją moc tylko właśnie do północy św. Jana, potem się jej pozbywały, czyli należało je zbierać do 24 czerwca. Dotyczy to na przykład także zielonych orzechów, z których sporządzano nalewki.

Noc ognia, magii i czarów

Pierwsze wzmianki o paleniu ognisk w noc świętojańską pochodzą z XIII wieku. Sobótkowe zwyczaje przez wiele wieków zachowały się niemal w niezmienionej formie. Noc świętojańska była nocą magii i czarów.

W wigilię św. Jana, czyli wieczorem 23 czerwca młodzież rozpalala ogniska, wokół których tańczono, śpiewano, bawiono się. Wg tradycji dziewczyny były ubrane na biało. Zapalano pochodnie, tzw. „fachule” (np. resztki miotła, czyli „oskrabki”, nasączone dziegiem, czyli „terem”), które wyrzucano w powietrze, biegano z nimi po miedzach, co dawało niezwykle efekty. Rozpalano je również na kopcach, co było odpowiednim porozumiewaniem się, że szczególnie czas nastał, że jesteśmy w nim razem, że tworzymy jedną rodzinę

Ludzie wiedząc, że ogień ma właściwości ochronne i oczyszczające, poddawali się takim zabiegom. W wigilię świętojańską ogniska rozpalano najczęściej nad wodami, na polach i miedzach. Dym roz-

chodzący się wokół chronił pola przed gradem i kłeskami. Wierzono, że ogień świętojański ma większą moc niż zwyczajny. Pomocny był w zwalczaniu wszelkich chorób i ludzkich dolegliwości cielesnych.

Świętojańsko woda zdrowio doda

Woda w noc świynatego Jóna odgrywała ogromną rolę, a zanurzenie w niej gwarantowało młodość i urodę oraz zdrowie i powodzenie. Jednym z ważniejszych zwyczajów tej nocy było puszczanie przez młode, niezamężne dziewczęta wianków na wodę z zapaloną świecą i ziołami miłosnymi. Musiały się tam znaleźć obowiązkowo trzy najważniejsze: bylica, piołun i dziurawiec, czyli ziele świętojańskie.

W wianki wplatano także kwiaty polne, takie jak chabry, rumianki, rutę – najlepiej dziewięć sztuk. Wieczorem puszczano je na wodę parami: po jednym dziewczyny i chłopaka. Pilnie obserwowano, jak wianki się zachowują. Jeżeli płynęły równo, a jeszcze lepiej zetknęły się z sobą albo dobiły do brzegu, oznaczało to szybkie zamążpójście i szczęśliwe życie małżeńskie. Żle wróżyło, kiedy wianek zaplątał się w zaroślach lub zgasała na nim świeca. Właścicielka musiała jeszcze poczekać na zamążpójście. A wianek, który zatonał, wróżył staropanieństwo.

Była też wiara w to, że utopce były niebezpieczne także do 24 czerwca, potem już nie były w stanie nikomu szkodzić, tudzież bezpieczna była kąpiel po św. Jónie. Jak to wyjaśnić? Otóż ludzie obserwowali przyrodę i przenosili swoje obserwacje w swój świat. Jest to swoisty paralelizm między przyrodą a zachowaniami kulturowymi ludzi. Jeżeli dnia ubywa, logicznie ubywa mocy demonom, ubywa siły ziołom, ptaszki też coraz rzadziej śpiewają, również ubywa im

sił, więc 24 czerwca staje się ważną granicą ludzkich zachowań.

Kwiat paproci

Z obrzędowością świętojańską wiązały się popularne niegdyś na całym Śląsku wierzenia o kwiecie paproci. Duże znaczenie magiczne miały zioła mające zapewnić powodzenie i szczęście w miłości. Za najskuteczniejszą uważana była właśnie paproć, czyli jęczynnik (gatunek paproci). Według bardzo rozpowszechnionych wierzeń w noc świętojańską zakwitał mityczny kwiat paproci. Temu, kto go znajdzie, ma zapewnić szczęście w miłości, niezwykłą mądrość, siłę i możliwość zdobycia ukrytych skarbów. Kwiat schowany w bucie czynił człowieka niewidzialnym. Na poszukiwania należało wybrać się samotnie, w tajemnicy przed innymi. Cudowny kwiat mógł znaleźć tylko człowiek odważny i szlachetny. Ważne było, by na poszukiwania wyjść całkiem nago, co oznaczało zmianę kondycji ludzkiej, przejście w antyświat, w obszar magii, także należało zaopatrzyć się w przedmiot ochronny, np. krzyż lub różaniec, i zachować absolutne milczenie, będące synonimem sakralności. Mówi się przecież „cicho jak w kościele”.

Wygrowani na świynatego Jóna

Uroczystościom nie brakowało oprawy muzycznej, miejscowe kapele wygrywały wieczorem pod oknami Janów nasze, tutejsze melodie, nie zapominając jednak dorzucić jakąś pieśń kościelną, na przykład „Kto się w opiekę...”.

Przysłowia i prognozyki

O tym, że było to u nas ważne i dawne święto, świadczą nie tylko powyższe zachowania rytualne, ale także twory słowne, np. przysłowia i prognozyki. Oto niektóre:

Jutro Świynaty Janek, puszczy my na wodę wianek.

Jak się Świynaty Jan rozczuli, to dziepro Najświynatso Panna (16 VII) go utuli.

Jak na Jóna kukuczka zakuko, to sie piekny czas wykuko.

Jak Jan Krzciciel kropi, to mokre bedóm wszystkie kopy.

Jak Jan z deszczym przybywa, to słota bywa i we żniwa.

Deszcz na Świynatego Jana Krzciciela, nie nazbiyrosz orzechów do wiertela.

Na Świynatego Jana ruszejmy do siana.

Ogień świętojański niech stanie się ogniskiem domowym, cieszyńskim, wokół którego skupiają się wszyscy tu stela ze swoją kulturą, czyli tożsamością. Ale jest też to czas miłości, tudzież czas ten ogarnia cały świat. Te dwa momenty pozwalają łączyć cieszyńskość z uniwersalizmem ogólnym, ponadregionalnym i ponadnarodowym.

Pomyślałem, że rafineria przestała istnieć

Pół wieku temu, 26 czerwca 1971 roku, zapalił się zbiornik z ropą w rafinerii w Czechowicach-Dziedzicach. Zdaniem wielu specjalistów był to największy pożar przemysłowy w historii Polski. Okazał się również najbardziej tragicznym. Pierwszym, który starał się udokumentować skalę tragedii, był zaś 21-letni wówczas bielszczanin, a dziś uznany podbeskidzki fotograf Wojciech Gorgolewski. Wykonał on bodaj najstojniejszą fotografię czechowickiej katastrofy. Nam opowiada zaś, jak do tego doszło.



• Wojciech Gorgolewski prezentuje zdjęcie, jakie zrobił z dachu swego rodzinnego domu. W oddalonym od Czechowic-Dziedzic o ponad 10 kilometrów Bielsku-Białej feralnej nocy zrobiło się jasno, jak za dnia. Fot. WITOLD KOZDOŃ

• Najbardziej znane zdjęcie pożaru rafinerii w Czechowicach i jedyne wykonane przed wybuchem ropy. Wojciech Gorgolewski wykonał je 27 czerwca krótko po północy. Na dachu zbiornika widoczni są dwaj mężczyźni. Z drabiny trzeci strażak leje wodę. Przeżył tylko on. Fot. WOJCIECH GORGOLEWSKI



Ludzie spłonęli jak zapałki

To był ciepły, sobotni wieczór, tymczasem nad Czechowicami-Dziedzicami przechodziła niewielka burza. 26 czerwca 1971 r. o godzinie 19.52 trzęcie, a zarazem ostatnie wyładowanie uderzyło w tzw. kominek oddechowy jednego ze zbiorników ropy czechowickiej rafinerii. Błyskawica zapaliła opary zgromadzone w zbiorniku, w którym znajdowało się około 10 tysięcy ton ropy. W ciągu kilku minut pożar objął dach oraz ropę rozlaną na tzw. „tacy”. Huk eksplozji był tak potężny, że słychać go było w odległości kilku kilometrów. Na miejsce zdarzenia błyskawicznie dotarły zastępy strażaków nie tylko z Czechowic-Dziedzic i okolic, ale także z ówczesnych powiatów bielskiego, oświęcimskiego i cieszyńskiego. Z Bielska-Białej wezwano nawet 160 żołnierzy. W niedzielę 27 czerwca ok. godziny 1.00 w nocy w akcji brało udział 18 sekcji zawodowych i 24 sekcje OSP. Planowano generalny atak na źródło ognia. Tymczasem o godz. 1.20 nastąpił potężny wybuch. W trakcie gaszenia ognia do zbiornika dostało się kilkadziesiąt tysięcy litrów wody. Ta, podgrzewana przez palącą się na „tacy” ropę, w końcu osiągnęła temperaturę wrzenia i zaczęła przedzierać się ku górze. W zbiorniku rozległo się potężne bulgotanie, a w chwilę później nastąpił wybuch, który spowodował wyrzut ropy na odległość nawet ponad 200 m. Słup ognia sięgnął kilkaset metrów, a na strażaków biorących udział w akcji gaśniczej spadło około 7 tysięcy ton płonącej ropy. Śmierć na miejscu poniosły 33 osoby, 4 kolejne zmarły w szpitalu. Rannych zostało 105 osób, w tym 40 ciężko. Kompletnie zniszczone zostały również 22 pojazdy straży pożarnej. Pożar szalał przez prawie trzy doby, a do akcji wkraczały coraz to nowe zastępy strażaków. We wtorek, 29 czerwca, o godzinie 15.10 przystąpiono do generalnego natarcia. Wcześniej zaś sprowadzono z NRD 200 ton substancji pianotwórczej. W „szturmie” brało udział 47 sekcji z ciężkim sprzętem gaśniczym, w tym 6 sekcji przybyłych z Czechosłowacji. Około godziny 17.00 pożar został opanowany, choć jego dogaszenie trwało do 1 lipca.

Witold Koźdoń

Jak zapamiętał pan 26 czerwca 1971 roku?

– Dzień spędzałem w moim rodzinnym domu w Bielsku-Białej. Zbliżał się wieczór, gdy nagle od północnej strony, czyli od strony Starego Bielska zobaczyłem słup dymu. Pomyślałem: pali się i to nieźle. Może warto wskoczyć w syrenkę 105 ojca i zrobić kilka zdjęć z tego pożaru. Zabrałem aparat Pentacon Six, dwie rolki filmu i pojechałem szukać ognia. W Starym Bielsku go nie znalazłem, więc wróciłem do domu. Ale widzę, że nadal się pali, tyle że dużo dalej, gdzieś w Czechowicach. Ponownie wsiałem więc w samochód i jadąc pomyślałem, że to może być rafineria. I faktycznie. Zakład był już jednak pilnowany, więc nie miałem szans, by się tam prześlizgnąć. Zaparkowałem syrenkę na osiedlu mieszkaniowym i pieszo, ukrywając Pentacona pod marynarką, ruszyłem w stronę jednego z bloków mieszkalnych usytuowanych najbliżej płonących zbiorników. Służby obstały już teren, więc szybko ktoś mnie zaczepił. Dowiedziałem się, że osiedle jest ewakuowane, odparłem jednak, że muszę wrócić po coś do mieszkania. Po ciemku wszedłem na trzecie piętro i na chybił trafił zadzwoniłem do drzwi. Miałem szczęście, bo ukazał się mężczyzna i zapytał: „co pan tu robi”? Wy tłumaczyłem, że jestem fotoreporterem i chcę sфотографować pożar, na co on się mocno zdziwił, pytając, w jaki sposób się do niego dostałem. Mężczyzna stwierdził też, że jest inżynierem

200

zawodowych sekcji straży pożarnych (1484 strażaków) brało udział w akcji ratowniczo-gaśniczej. Wspierało je 150 sekcji Ochotniczych Straży Pożarnych (1030 członków OSP), 13 sekcji pożarniczych z Czechosłowacji (58 strażaków), żołnierze Ludowego Wojska Polskiego oraz załoga rafinerii.

z rafinerii z Płocka i przebywa na delegacji w Czechowicach-Dziedzicach. Spokojnie oglądał w telewizji festiwal w Opolu, a mnie przekonywał, że strażacy niebawem ugaszą ogień. Pozwolił jednak zrobić kilka zdjęć płonących zbiorników z okna swego mieszkania.

I wtedy powstały te historyczne fotografie?

– Nie, te zrobiłem nieco później. Ten miły i niesamowicie spokojny pan niespodziewanie zaproponował bowiem, że zaprowadzi mnie na dach, skąd widok na płonące zbiorniki był dużo lepszy. Oczywiście skorzystałem i po chwili byłem na miejscu. Widok był przerażający. Jeden zbiornik był cały w kłębach dymu. Trzy pozostałe strażacy schładzali wodą. Paliła się także ropa wokół zbiornika usytuowanego najbliżej mnie. Dookoła stały zaś mniejsze zbiorniki z produktami rafinerii. Ich wybuch byłby kataklizmem. Robiłem zdjęcia, ale

miałem tylko dwie rolki filmu. Było grubo po północy, gdy wykorzystałem obie i przekonywany przez mojego gospodarza o rychłym ugaszeniu ognia, wróciłem do auta. Pojechałem do Bielska-Białej, a gdy wysiadałem z samochodu, nagle zobaczyłem... szczyty Szyndzielni i Błatniej. W środku nocy zrobiło się widno prawie jak w dzień. Nad Czechowicami ujrzałem słup ognia wysoki na kilkaset metrów. To było coś przerażającego. Pomyślałem, że rafineria przestała istnieć.

Postanowił pan wracać?

– Nie, ponieważ nie miałem już filmów. Zresztą odjeżdżając widziałem, że rejon rafinerii otoczył szczelny kordon milicji, z pewnością więc już bym się tam nie dostał. Domyślając się jednak skali tragedii stwierdziłem, że mam historyczne zdjęcia. W ciemni zabrałem się więc za ich obróbkę. Była trzecia w nocy, gdy zadzwoniłem do redaktora Józefa Klisia i zaproponowałem mu fotografie z pożaru. Znaliśmy się, ponieważ w tamtych czasach współpracowałem z prasą, zajmując się fotoreporterką czy robiąc zdjęcia na meczach piłkarskich i innych wydarzeniach. Klis nic nie wiedział o katastrofie, ale obiecał, że oddzwoni. Rano poinformował mnie natomiast, że moje zdjęcia nie pójdą, bo temat jest objęty ostrą cenzurą. Mimo to skontaktowałem się z redaktorem „Kroniki Beskidzkiej” Tadeuszem Patanem, a ten obiecał, że wykorzystają je przy najbliższej okazji, ale pod własnym nazwiskiem, tak dla bezpieczeństwa. Zgodziłem się i już następnego dnia w rewanżu dostałem od Patana negatywy jego zdjęć

wykonanych podczas akcji gaszenia pożaru. Ostatecznie wspólnie z Tadeuszem w ciągu trzech dni wykonaliśmy kilkadziesiąt kompletów fotografii dokumentujących czechowicką tragedię. To były albumy dla władz państwowych i komisji dochodzeniowych. Zdjęć było tak dużo, że w pewnym momencie płucałem je w wannie. Zarejestrowane obrazy przerażały. Niesamowicie wykrzywione szyny kolejowe, spalone zwłoki ludzkie, stopione samochody strażackie.

Ponoć niektórych fotografii ze względu na drastyczność przekazu, nie publikowano jeszcze wiele lat po tragedii?

– Ja miałem szczęście, ponieważ półtora miesiąca po pożarze ukazał się numer specjalny „Przeglądu Pożarniczego”. Magazyn otwierało moje zdjęcie – jedyne wykonane przed tragicznym wybuchem w nocy z 26 na 27 czerwca. I zostało nawet podpisane moim nazwiskiem. Natomiast faktycznie nie-

które ze zdjęć do dziś szokują. Pamiętam fotografię Tacka Patana, na której widnieją spalone ludzkie szczątki zastygłe w pozie ucieczki. Ten człowiek osunął się na kolana i wygląda to, jakby modlił się przed czymś, co w otaczającym go rumowisku przypomina krzyż. Zdjęcie jest niesamowite.

A bohaterowie pańskiej fotografii? Na galerijce uwiecznionego przez pana zbiornika z ropą stoją dwaj mężczyźni. Na drabinie strażackiej zbiornik chłodzi zaś trzeci strażak.

– Niestety, gdy nastąpił wybuch, po mężczyznach z galerijki nie pozostał ślad. Natomiast człowiekiem na drabinie magirusa był starszy ogniomistrz Kuś. Zjechał on po poręczach i uciekał wśród płonącej ropy. Gdy wyszedł ze szpitala, odwiedziłem go i wręczyłem zdjęcie. Patrzył z niedowierzaniem na swoją niewielką postać w odległości zaledwie kilkunastu metrów od bomby złożonej z gotującej się wody i rozgrzewającej się ropy. ▲



DEKA-GRA-MERON UŚMIECHÓW

Dziennik pandemiczny

Dzień czwarty – Opowieść druga

Dwie walizki

Marsylia jest biznesowym rajem. To drugie co do wielkości miasto we Francji. Zaletą jest przede wszystkim położenie geograficzne. Nie chodzi tylko o port i połączenia promowe z Afryką. Szybkim autem stąd do Monako można dotrzeć zaledwie w dwie godziny. Gerbin miał smykałkę do interesów. Bywał w Monako dosyć często. Nie dla przyjemności, a dla robienia biznesu właśnie. Rodzice przekazali mu znaczny majątek. Od lat siedemdziesiątych ubiegłego wieku handlowali stalą. Działali głównie na rynkach wschodnich, lecz znacząco wspierali rodzimy przemysł stoczniowy.



Nowe milenium przyniosło ze sobą szybki rozwój nowoczesnych technologii. Pomimo iż stal nadal stanowiła istotę gospodarki, rodzice Gerbina utracili swoje wpływy na rzecz młodszych rekinów biznesu. Proporcje nieco się odwróciły. Do Europy zaczęto importować duże ilości stali z Chin oraz Indii. Zapotrzebowanie rosło, a małe rodzinne firmy nie były w stanie dotrzymać tempa. Gerbin doskonale zdawał sobie sprawę z postępującej cyfryzacji świata. Nie zamierzał przyglądać się biernie. Był nauczony, że przysłowiowego byka należy łąpać za rogi, bo gdy puści się go wolno, to jego furia może zabić.

Miasto założyli Grecy. Kilka eksponatów znajduje się w Muzeum Historii Marsylii. Jest nawet fragment rzymskiego statku z II wieku. Gerbin od zawsze lubił okolice górnej części starego miasta. To tu mieściła się grecka agora, ale prawdziwą inspiracją stały się dla młodego biznesmena wąskie uliczki, które w ciągu ostatnich trzydziestu lat zamieniły się w galerię sztuki. Na murach kamienic miejscowi artyści prezentują swoje prace. Kolorowe okiennice łączą stare z nową oprawą. Gdzieniedzie pranie swobodnie powiewa nad głowami turystów dodając życiu odrobinę szaleństwa. Te elementy łączą się w zgrabną całość. Tutaj Gerbin odpoczywał i tworzył nowe pomysły. Miał coś w rodzaju widzeń. Brał głęboki oddech, podnosił głowę do góry. Rozciągał szeroko ręce tak, by dłońmi dotykał murów po lewej i prawej stronie ulicy. Dzięki temu tworzył duchową więź z dawnymi mieszkańcami miasta; kupcami, handlowcami, a nawet drobnymi złodziejaskami. Słyszał dzieci bawiące się pod bramą, a płacz kobiet na wieść o zabitych w wojnie mężów był tak wyraźny, że czasami Gerbin musiał oderwać się od zmruszałych ścian, by odpocząć. Najbardziej interesowały go rozmowy szlachciców z właścicielami miejscowych fabryk. Często wsłuchiwał się w ich szepty, gdyż takie pertraktacje odbywały się w ukryciu, z dala od ludzi i jak najdalej od głównego portu, gdzie każde nieoficjalne spotkanie mogło zakończyć się szarpaniną, a nawet śmiercią.



Gerbin nie handlował już stalą. Rodzinne majątki w całości sprzedał, a pieniądze zainwestował na giełdzie. Znał się na stali, więc trzymał się rynków hutniczych. Był bystry i szybko reagował na spadki, ale gdy nadchodziła hossa, Gerbin zawsze notował znaczące zyski. Majątek rodziców powiększył dziesięciokrotnie, chociaż na początku śmiano się z niego. Swoje biznesy rozpoczynał dostawnie na walizkach. Miał tylko jedno sportowe porche i dwie walizki, w których rzekomo przewoził pieniądze. Po śmierci rodziców nie ufał



Marsylia (fr. Marseille, wł. Marsiglia) – miasto w południowej Francji, nad Morzem Śródziemnym, drugie co do wielkości w kraju i trzeci zespół miejski. Położona jest w regionie Prowansja – Alpy – Łazurowe Wybrzeże, w departamencie Delta Rodanu, którego jest stolicą. Założona przez Greków z Fokai ok. roku 600 p.n.e. jako Μασσαλία (Massalia). W Marsylii działa polski konsul honorowy. Fot. Wikipedia

instytucjom bankowym. Gdy otworzył własny bank, sytuacja uległa zmianie. Nie musiał już transportować pieniędzy w walizkach. Stał się bankowcem, a jego kontakty z inwestorami zacieśniły się. Miał znaczące wpływy i znajomości z biznesmenami ze wschodu, przede wszystkim zaś z Chin. Gerbin wszystkich traktował równo. Każdy partner handlowy lub inwestor był dla niego produktem; potencjalnym źródłem dodatkowych dochodów. Oczywiście zdawał sobie sprawę, jaki wpływ na rynki finansowe mają poszczególne łańcuchy dostaw czy transfery pieniędzy ze wschodu na zachód, ale nie przejmował się sytuacją geopolityczną. Był przekonany, że każda zmiana władzy, a nawet ataki terrorystyczne powodują przetasowania na rynkach finansowych. Sęk w tym, by odpowiednio wykorzystywać ten etap transformacji, zareagować odpowiednio wcześniej i zyskać. Gerbin miał kilka apartamentów w Algierze. Sam nigdy nie korzystał, lecz wysyłał tam swoich partnerów handlowych na kilkutygodniowe wczasy. Gerbin zawsze powtarzał, że to inwestycja; niezbędne koszty, dzięki którym będzie można w przyszłości osiągnąć cel, czyli wzbogacić się jeszcze bardziej.



W Starym Porcie często występuje tzw. martwa fala. Żeglarze wiedzą, że na otwartym morzu jest to dosyć niebezpieczne zjawisko. Chodzi bowiem o fale, które pojawiają się zniecka, bez powodu. Pozornie może wydawać się, że zafalowanie nie ma prawa bytu, lecz powstaje zupełnie w innym miejscu i czasie. Natomiast martwa fala może być posttormowa, ale równie dobrze może powstać na wskutek trzęsienia ziemi, a nawet podwodnego wybuchu bomby atomowej. Co prawda port w Marsylii jest dobrze osłonięty od wiatru, ale martwa fala przypląwa z zewnątrz bez zapowiedzi. Dla turystów to atrakcja. Szczególnie w upalne dni spiętrzone plusk daje lekkie ochłodzenie. Selfie ze spienioną falą w tle robi ogromne wrażenie na znajomych. Gerbin przychodził tutaj dla zabawy. Stary Port wiele lat temu został przebudowany i dostosowany dla potrzeb turystów. Na pirsach nikt już nie odbiera egzo-

tycznych towarów. Kupcy nie przychodzą z torbami wypchanymi kosztownościami. Nie ma gwaru. Brak charakterystycznego drewnianego dźwięku spod dębowych beczek wyrzucanych na bruk. Nowy port wybudowano nieco dalej, ale tam nie ma już klimatu, ani zapachu dawnej świetności.



Gerbin obserwuje ludzi. Marsylia od zawsze była miastem wielu kultur i tak pozostało do dziś. Czasami śmieją go reakcje przyjezdnych, którzy robią sobie zdjęcia na zardzewiałych polerach. Turyści nie chcą oglądać starych śmieci, a przecież nie tak dawno historia tego miasta zależna była od zaciemnianych tutaj statków. Na lewej stronie nabrzeża ojciec Gerbina sprawdzał jakość nowych dostaw. Tuż nad tunelem portowym znajdowało się biuro odprawy celnej. Budynek miał chyba ze dwieście lat. Później został zburzony. Zastąpił go biały blaszany kontener.

Gerbin usiadł na ławce pod teatrem La Criée. Tuż obok położył dwie walizki. Przyszedł pieszo z górnego miasta. Poczul, że jest zmęczony. Marsylia była dla niego jak matka. Wychował się tutaj, lecz dziś postanowił odpocząć. Pierwszy raz od śmierci rodziców zatrzymał się, by pomyśleć co robić dalej.

– Hej przyjacielu, nie wyglądasz zbyt dobrze! – zwrócił się do Gerbina przechodzień. Męski głos był nieprzyjemny w swym brzmieniu, a jednak ta melodia i akcent przypominał kogoś sprzed lat. Gerbin nie miał wrogów w tej części Europy więc odwrócił się, by sprawdzić kim jest nieznajomy.

– Filip? – zdziwił się.

– Co ty tutaj robisz? Mówiłeś, że nigdy nie wrócisz do Marsylii.

– Ludzie mądrzeją z wiekiem – odpowiedział Filip. Chiny są piękne, ale nic tam po mnie. Nie mam już firmy. Przejeli ją trzydziestoletni ambitni członkowie zarządu.

– Nic nie zrobisz? – zapytał Gerbin.

– Nic. Nawet nie próbowałem. Zabukowałem bilet na najbliższy lot do Marsylii i jestem... w domu. Widzę, że w samą porę.

– W jakim sensie? – obruszył się Gerbin, podnosząc prawą brew.

– Sugerujesz, że u ciebie wszystko w porządku? Przecież na pierwszy rzut oka widać, że masz wątpliwości. Coś cię martwi. Straciłeś majątek? – zapytał zaniepokojony Filip.

– Nie! No skąd! Co cię to w ogóle obchodzi? – zamruczał pod nosem Gerbin. Nie wygłupiaj się. Pojawiasz się po trzydziestu latach bez zapowiedzi. Wyskakujesz zza pleców jak Filip z konopi i od razu zabierasz się za naprawianie świata? Daj mi spokój!

– Wróciłem do domu przyjacielu. Czy ci się to podoba, czy nie... zamierzam tutaj zostać.



Gerbin milczał. Obserwował morze. Filip usiadł na tej samej ławce. Siedzieli jak dawniej, gdy jako mali chłopcy liczyli czas pomiędzy uderzeniami fal w pomost. Dwóch przyjaciół, którym kłaniał się cały biznesowy świat.

W nabrzeże uderzyła duża fala. Mogła mieć ze trzy metry wysokości, a nawet więcej.

Pierwszy odezwał się Filip.

– Gerbin, łap walizki!

– Nie warto – odpowiedział bez napinki były właściciel kilku przedsiębiorstw i banku.

– Nie wygłupiaj się! Przecież to cały twój majątek – krzyknął Filip, wiedząc, że Gerbin stracił na giełdzie dorobek życia. – Szybko... podaj mi bosak z pomostu, osiągnę!

– Nie warto – powtórzył Gerbin, siedząc nieruchomo.

– Czy zatem nie było w tych walizkach nic wartościowego?

– Nie. Te dwie walizki nie mają żadnego znaczenia – odpowiedział Gerbin.

– To tylko dawne życie, które i tak zamierzam porzucić – dodał ze stoickim spokojem.

Przyjaciele pokleпали się serdecznie po plecach, jak kiedyś, gdy grali w piłkę w Starym Porcie. Walizki zniknęły na horyzoncie. Gerbin i Filip rozmawiali jeszcze długo, a ich śmiech odbijał się echem o mury starych kamienic, gdzie kolorowe pranie nad głowami dodaje życiu odrobinę szaleństwa.



pre-teksty i kon-teksty /171/



Krzysztof Łęcki

Jak powstaje felieton?

Pisałem właśnie esej do programu teatralnego. Za kilka dni w katowickim Teatrze Śląskim im. Wyspiańskiego miała swoją premierę sceniczna wersja „Pokory” Szczepana Twardocha. I kiedy porządkowałem notatki przypomniało mi się pewne pytanie. Przy różnych okazjach stawiali je Twardochowi czytelnicy i czytelniczki: – Proszę powiedzieć, jak pan pisze swoje książki? I zawsze ta sama odpowiedź pisarza – nie, nie kpięca, raczej wymijająca: „To proste, trzeba naciskać klawisze na klawiaturze laptopa w odpowiedniej kolejności”. Pisanie felietonu polega mniej więcej na tym samym.

Kiedy opublikowało się takich krótkich tekstów ponad półtora tysiąca, to sam proces pisania opierać się powinien na mieszance oryginalnych skojarzeń, ale też w jakimś stopniu w grę wchodzi tu jednak rutyna. Te przychodzące do głowy felietonisty konteksty bywają zaskakujące nawet dla samego autora i nie zawsze muszą być trafione w punkt. Tak jak chociażby w pełnej wątków autobiograficznych powieści Saula Bellowa „Ravelstein”. Oto fragment powieściowej rozmowy Bellowa z Abe Ravelsteinem, czyli w rzeczywistości Allanem Bloomem, filozofem znanym z żywego stylu i znajdowania niekonwencjonalnych kontekstów; mistrz Blooma, Leo Staruss często korzystał na swych seminariach uniwersyteckich właśnie z fragmentów felietonów.

„– Kelner powiada, że Michael Jackson nie chce korzystać z kuchni hotelowej – rzekł (Ravelstein). – Wozi wszędzie z sobą tym swoim odrzutowcem własnego kucharza. W każdym razie szef kuchni Crillona obraził się śmiertelnie. Jego kuchnia była wystarczająco dobra dla Richarda Nixona i Henry’ego Kissingera, mówi, i dla całej armii szachów, królów, generałów i premierów. Ale ten kurdupel, ten wystrojony małpizjon grymasi. Czy to nie w Biblii mamy wzmiankę o okaleczonych królach pełzających pod stołem tego, który ich pokonał, i zbierających okruchy z pańskiego stołu?

– Zdaje się, że jest tam coś takiego. Mie-li chyba poobcinane kciuki. Ale co to ma wspólnego z hotelem de Crillon i Michaelem Jacksonem?

Abe (Ravelstein) roześmiał się i przyznał, że sam nie wie. Tak mu to po prostu przyszło do głowy”.

Na drugim biegunie znaleźć można przypadki skojarzeń do bólu przewidywalnych. Używanie ich powinno być karane. I karane bywa. W poświęconym futbolowi niemieckim programie telewizyjnym „Doppelpass” zwracała uwagę Phrasenschwein, taka świnka-skarbonka. Ci z gości programu, którzy wygadywali banały, używali oklepanych zwrotów i ogólników typu „piłka jest okrągła” musieli wrzucać do niej drobne – pod koniec sezonu zebrane w niej pieniądze przeznaczano na jakiś szczytny cel. Przed wyborami do Landtagu w Hesji „Frankfurter Rundschau” pisał: „– Gdyby we frankfurckim ratuszu stała Phrasenschwein, pod koniec wieczora byłaby pełna aż po różowy pysk”.

W rzeczywistości felietonowe preteksty i konteksty nie są aż tak dowolne, jak w

przypadku Ravelsteina. A i spostrzeżenia, które do powstania felietonu zachęcają, są jednak zwykle mniej odległe niż skojarzenia z Biblią. Ot, chociażby. Siedzimy jakiś czas temu z pisarzem Szczepanem Twardochem w nieistniejącym już pubie „Spencer”. Przy winie gadamy o tym i owym – o literaturze, filmie, może nawet o kobietach, pewnie także o polityce... I najpewniej jeszcze o czymś innym, dokąd nas zawiodły rozliczne dygresje. Gadamy jak zawsze intensywnie, tak że łatwo dostrzec komuś postronnemu, iż jesteśmy w nastroju nieprzysiadalnym. A przecież mimo to jakieś dwie pańce spozierają w naszą stronę z nie tylko nieskrywanym, ale nawet wręcz ostentacyjnym zainteresowaniem. „Zacznijmy godać” – proponuje rozbawiony Szczepan. Taki mały eksperyment. Nie – nie szło nam o przejście na jakiś język tajemny, choć śląski był pewnie dla obu pań niezrozumiały. Nie mieliśmy też zamiaru przekazywać sobie w ten sposób jakichś sekretnych wiadomości. Niemo postawiona hipoteza była inna i – jak się miało okazać – miała zostać pozytywnie zweryfikowana. A brzmiała ona tak: godanie stygmatyzuje. Wracam do sytuacji ze „Spencera”. Już w nim nie gadamy – ino godomy. Nie to, że do rozmowy wtrącamy pojedyncze śląskie słowa, ino godomy na całego. No cóż, damskie nami zainteresowanie rozmywa się nagle jak tusz do rzęs. Na dodatek jakiś wyraz bliżej nieokreślonego niesmaku rysuje się na kobiecych twarzach. I jest w tym niesmaku coś ostentacyjnego – co mieliśmy zauważyć, bo nie dostrzec go było nie sposób. Przypadek? Nie sądzę... – by posłużyć się tak często wykpiwanym zwrotem.

Dziwić się temu, bo ja wiem... rozczarowaniu nieznanym nam pań? No cóż, wreszcie taki, wydawałoby się, na angielską modłę pomysłany pub, więc spodziewać by się można... No właśnie – czego? Przetykanego angielskimi wtrętami korporacyjnego slangu? No, dobra – przynajmniej poprawnej polszczyzny. Język Reja i Kochanowskiego, miewa rzecz jasna różne wykonania. Od najbardziej wyrafinowanych – poprzez do cna schematyczne, szablonowe, na zupełnie prymitywne kończąc. Nie jestem przekonany że w każdym przypadku podział na język polski i śląski dobrze odzwierciedla na zaproponowany przez socjologa Basila Bernsteina podział na kody – rozwinięty (to plus) i ograniczony (to minus). Niemniej z pewnością dobrze oddaje on dość powszechne społeczne nastawienie do tego podziału: – polski to kod rozwinięty, śląski – ograniczony.

Zatem – nawet jeśli by w „Spencerze” słyhać byłoby strzępy rozmów niepoślasku „o niczym”, w formie słabo przypominających wyrafinowanie profesora Jana Miodka, to jednak z anturą popularnego niegdyś pubu by się to wówczas jakoś zgadzało. Nawet gdyby ograniczały się do funkcji fatycznej. A tu dwóch facetów przechodzi ni z tego, ni owego na jakiś prymitywny „szwargot”. Śmiejemy się z autorem „Pokory” z całej tej sytuacji, rysuje się może nawet w ten sposób następny temat do rozmowy. Nie żeby ich nam brakowało, mamy zwykle mnóstwo spraw do przegadania, ale... Ale widać sytuacja zdała się jednak Szczepanowi na tyle symptomatyczna, że poświęcił jej kiedyś felieton w „Silesionie”.

STROJE REGIONALNE /6/



„Tradycje i zwyczaje regionu GO!”

Strój jabłonkowski



• Męski strój jabłonkowski posiadał cechy munduru huźarów. Na strój składa się: biała koszula z szerokimi rękawami, nogawice (spodnie), bruciek (kamizelka), mentyczka lub kabata, żarna (futrzana czapka), ciżmy.



Zdjęcia: NORBERT DĄBKOWSKI

• „Na białą koszulę nakładano kamizelkę tzw. bruciek z wykładanym kołnierzem i dwoma rzędami srebrnych guzików zwanych guzami. Jako wierzchniego ubrania używano mentryczki lub kabata. Ta pierwsza podbita futrem i lamowana czarnym barankiem posiada bogate ozdoby w formie guzów oraz orpantu – napierśnika, którym spinano poły mentryczki”¹.



• „Sukienne spodnie nogawice zdobione były czarnym sznurowaniem oraz lampasami biegnącymi wzdłuż zewnętrznego szwu”².



• „Uzupełnienie stroju stanowiła futrzana czapka z klapkami na uszy tzw. żarna”³.

• Wysokie czarne ciżmy zwane kordybanami.



^{1,2,3} Marian Dembiniok, „O Góralach, Wałachach, Lachach i Jackach na Śląsku Cieszyńskim”, Czeski Cieszyń 2010

SPORT

KONIEC ZŁUDZEŃ. POLACY ZA BURTA

Analiza ku pokrzepieniu serc



Piłkarska reprezentacja Polski przegrała w ostatnim meczu grupowym mistrzostw Europy ze Szwecją 2:3, odpadając z EURO 2020 już w fazie grupowej. Biało-czerwoni z dorobkiem jednego punktu zajęli w tabeli grupy E ostatnie miejsce. W 1/8 finału zagrają natomiast Czesi, którzy w niedzielę o godz. 18.00 zmierzą się w Budapeszcie z Holandią. Wciąż jest więc za kogo trzymać kciuki.



Robert Lewandowski zdobył w tym turnieju trzy bramki. Kolejnych już nie dotączy. Fot. PZPN

Janusz Bittmar

Gorszą piłkę od reprezentacji Polski zaprezentowały w tych mistrzostwach już tylko reprezentacje Turcji i Słowacji. Paradoksalnie właśnie ze Słowakami biało-czerwoni przegrali pierwsze, jak się później okazało, kluczowe spotkanie dla losów grupy E. Po porażce 1:2 podopieczni trenera Paulo Sousy stanęli pod ścianą, wiedząc, że następnego meczu z mocną Hiszpanią nie mogą przegrać. Zremisowali go 1:1 zasługą niesamowitej determinacji, która zamaskowała niedociągnięcia piłkarskie. Polscy piłkarze wyczerpali swój limit determinacji w spotkaniu ze Szwecją, znów goniąc wynik po straconej bramce z 2. minuty. Na 1:0 dla Szwedów trafił po błędzie polskiej obrony Forsberg. Ten sam zawodnik w 59. minucie strzelił też drugiego gola dla Szwedów i gdyby nie Robert Lewandowski, Polacy opuszczaliby stadion ze wstydem.

Za sprawą kapitana drużyny, który dwoma bramkami w drugiej połowie (61. i 84.) wykrzesał iskrę nadziei dla Polski, ten pojedynek nie przejdzie do historii jako jeden z najgorszych w wyko-

naniu polskiej ekipy. Kiedy w końcówce meczu podopieczni trenera Paulo Sousy postawili wszystko na jedną kartę, zgodnie z przewidywaniami stracili trzeciego gola po strzale Claessona (90.). Oprócz Lewandowskiego tylko Piotr Zieliński zasłużył w polskim zespole na pochwały. Reszta zagrała albo retro-futbol (brylował w tym Krychowiak) albo nie sprostała presji spotkania (Bereszyński, Świderski, Świerczok, Jóźwiak).

Pod wodzą Paulo Sousy, który przed mistrzostwami zmienił na stanowisku głównego selekcjonera Jerzego Brzęczka, biało-czerwoni wygrali tylko jedno spotkanie – marcową „walkę” w ramach eliminacji do mistrzostw świata 2022 z piłkarskim kopcuszkim z Andory, zwyciężając 3:0. Od wczoraj wszyscy kibice i dziennikarze w Polsce zamienili się w piłkarskich analityków, większość głosów sprowadza się zaś do krytyki portugalskiego szkoleniowca za sterem zespołu. Souzę wprowadził na piłkarskie salony nad Wisłą prezes Polskiego Związku Piłki Nożnej Zbigniew Boniek. Kadencja Bońka kończy się w połowie sierpnia i jeśli Sousa nie napisze genialnej analizy powodów odpadnięcia z EURO 2020, niewykluczone, że jeszcze w tym

Paulo Sousa: Będziemy silniejsi

– Jesteśmy zawiedzeni, bo ciężko pracowaliśmy na nasz cel i jako drużyna zaszliśmy na więcej. Nie da się jednak osiągnąć celów, kiedy w tak głupi sposób traci się bramki. To jednak nie tylko wina obrony, po prostu całym zespołem musimy lepiej bronić, zawiązać pole, mocniej koncentrować się na rywalu. Mimo wszystko uważam, że w polskim zespole wiele zmieniło się na plus – powiedział na konferencji prasowej po meczu ze Szwecją selekcjoner reprezentacji Polski. – Nie jest łatwo zmienić nawyki, przyzwyczajenia, niemniej dostrzegam sporo zmian w naszym zespole. Lepiej funkcjonujemy całościowo w defensywie. Po pierwsze dlatego, że bronimy dalej od bramki, co z kolei pozwala nam tworzyć okazje pod bramką przeciwnika. Inna zmiana – mentalna: każdy z piłkarzy musi nad nią pracować w głowie. Tylko skupienie, agresja w grze pozwalają osiągnąć sukces na boisku. Dużo lepiej kontrolujemy grę, spychamy przeciwnika bliżej własnej bramki, jesteśmy agresywniejsi w grze, stwarzamy więcej sytuacji dzięki akcjom ze środka pola i ze skrzydeł. Jestem zadowolony z decyzji, jakie piłkarze podejmują na boisku. Staliśmy się jednością, niestety wielu ważnych zawodników wyłączyły z gry kontuzje, przez co nie mogliśmy w pełni wykorzystać naszego potencjału. Wierzę, że gdy wszyscy będą zdrowi, to pokażemy większą jakość, jestem tego pewien. Musimy zapanować na tym, aby duża intensywność, wysoka agresja z naszej strony trwały przez 90 minut, a nie tylko w jednej połowie.

Czesi w niedzielę z Holandią

W 1/8 finału zapowiada się ciekawa bitwa pomiędzy reprezentacją RC a Holandią. Możemy liczyć na wielkie emocje za sprawą pełnego stadionu w Budapeszcie, który może pomieścić aż 60 tysięcy widzów, i który jako jedyny z obiektów EURO 2020 otrzymał zgodę na wypełnienie wszystkich krzesełek. Ostrawski epidemiolog Rastislav Mad'ar wprawdzie ostrzega przed kibicowaniem na stadionach bez zachowania bezpiecznego dystansu, ale bliskość Budapesztu raczej zwycięży nad zdrowym rozsądkiem. Czesi, którzy w grupie D zajęli trzecie miejsce, nie stoją przed meczem z Holandią na straconej pozycji. Zaoszczędzili siły w piknikowym spotkaniu grupowym z Anglią i oprócz pauzującego z powodu żółtych kartek obrońcy Jana Bořila powinni zagrać w najsilniejszym składzie. W holenderskiej prasie trzy czeskie nazwiska budzą największą grozę: Schick, Souček, Vaclík. Bramkarz Tomáš Vaclík wprawdzie nie miał udanego sezonu w Sewilli, ale na EURO 2020 należy do najlepszych golkiperów. W razie zwycięstwa Czesi w ćwierćfinale trafią na triumfatora pary Walia – Dania.

roku, w trakcie eliminacji do mundialu, poznamy jego następcę. Znając jednak potencjał marketingowy Sousy, jego analiza trafi w samo sedno sprawy (namiastkę tego, jak potrafi ubrać myśli w słowa, pokazał na konferencji prasowej po meczu ze Szwecją). W skrócie: „dajcie mi szansę, żeby dokończyć proces transformacji drużyny”. Proces to zresztą ulubiony wyraz portugalskiego trenera.

Jak będzie, zobaczymy w najbliższych tygodniach. Faktem pozostaje, że Polaków przywitano w Sopocie w raczej pogrzebowej atmosferze. Nie tak, jak Węgrów w Budapeszcie, którzy pomimo odpadnięcia z turnieju wrócili do domu w roli bohaterów. Każdemu według zasług. ▲

PARY 1/8 EURO 2020

- 26 czerwca, 18.00, Amsterdam
Walia – Dania
- 26 czerwca, 21.00, Londyn
Włochy – Austria
- 27 czerwca, 18.00, Budapeszt
Holandia – Czechy
- 27 czerwca, 21.00, Sewilla
Belgia – Portugalia
- 28 czerwca, 18.00, Kopenhaga
Chorwacja – Hiszpania
- 28 czerwca, 21.00, Bukareszt
Francja – Szwajcaria
- 29 czerwca, 18.00, Londyn
Anglia – Niemcy
- 29 czerwca, 21.00, Glasgow
Szwecja – Ukraina

O medale w Gdyni



W Gdyni walczą w ten weekend polonijni żeglarze w II Światowych Polonijnych Mistrzostwach Żeglarskich. Mocne ekipy wystawił nad Bałtykiem również Zaolziec. W sumie w regatach wystartuje 12 ekip z całego świata.

O medale w czempionacie powalczą aż trzy nasze załogi – PTTS „Beskid Śląski” (Henryk Cieślak, Anna Franek, Władysław Czudek, Marian Cieślak), Klub Kibica Boconowice (Grzegorz Skupień, Andrea Skupień, Ivan Borski, Janka Borska, Bogdan Borski) oraz premierowo ekipa z kapitanem Bogdanem Kokotkiem (Lech Ćmok, Ewa Ćmok, Bogdan Kokotek, Michał Jeżowicz, Zbigniew Jeżowicz). Przypomnijmy, w zeszłym roku nasi żeglarze pokazali pazury – złoto wywalczyła drużyna PTTS „Beskid Śląski”, zaś brązowy medal Klub Kibica Boconowice. Jak będzie tym razem? Proszę nas śledzić w weekend na stronie internetowej www.glos.live.

(jb)

Wygraj oficjalną piłkę EURO 2020!



W piątek 11 czerwca rozpoznamy naszą tamach zabawę, w której można zdobyć oficjalną piłkę mistrzostw Europy 2020. Z tą futbolówką niestety Polacy już nie strzelą ani jednej bramki, ale w kontekście naszej zabawy nie ma to najmniejszego znaczenia. Mamy dla Was trzy piłki, po jednej w każdej z trzech odsłon konkursu. Szczęśliwym zwycięzcą 2. odsłony została Beata Wania, z którą skontaktujemy się e-mailowo. Poprawna odpowiedź na 2. pytanie brzmiała: reprezentację Polski w mistrzostwach Europy 2012 poprowadził trener Franciszek Smuda.

PYTANIE NR 3

Czesi w niedzielny mecz 1/8 finału mistrzostw Europy 2020 zmierzą się z Holandią. Proszę podać nazwisko dotychczasowego najlepszego strzelca drużyny RC w tym turnieju. Na odpowiedź czekamy do najbliższego czwartku pod adresem e-mailowym: info@glos.live. Powodzenia! (jb)

POST SCRIPTUM

UŚMIECHNIJ SIĘ



WEHIKUŁ CZASU

Tak było...

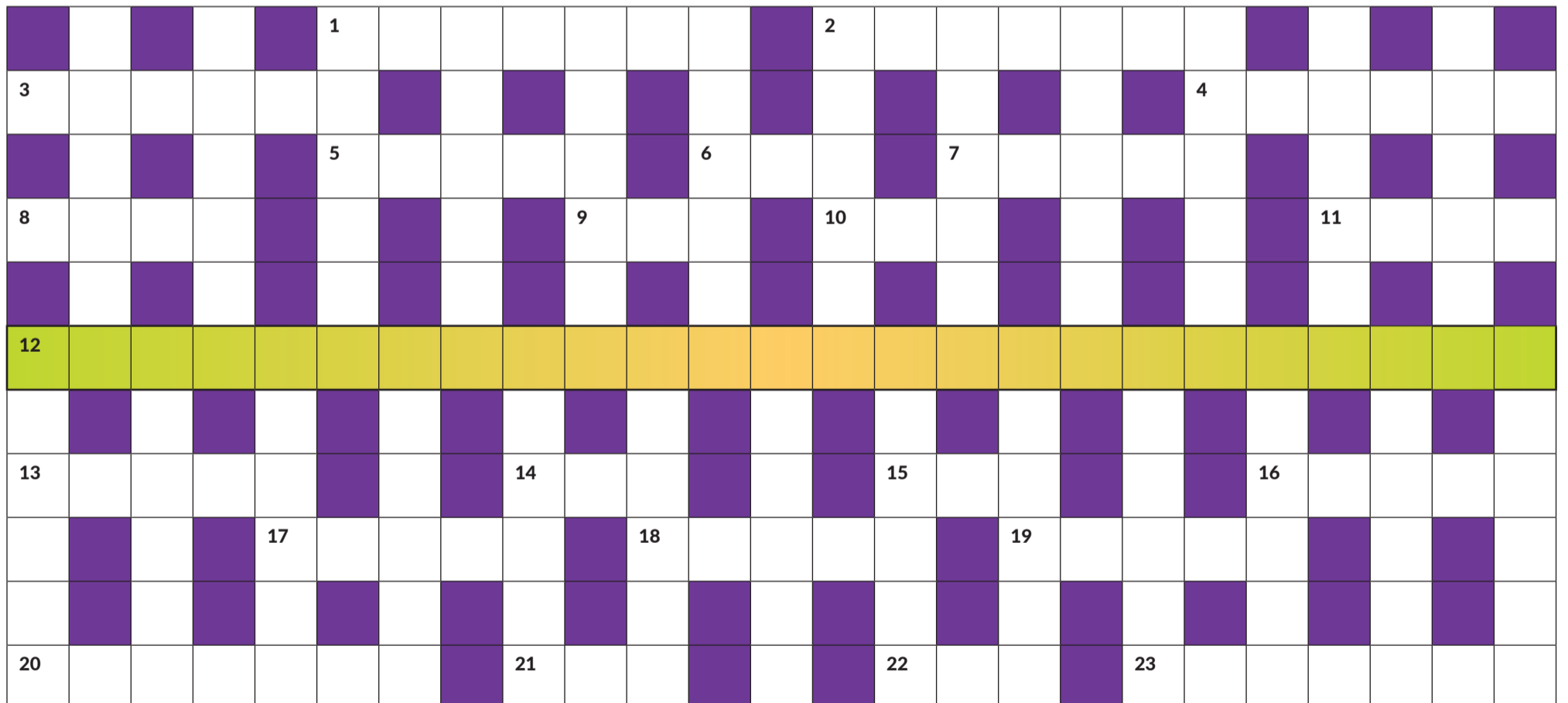


• Na zaproszenie do naszej fotograficznej zabawy odpowiedział pan Henryk Cachel. Jak widać, pogoda dopisała, by w pełnym słońcu uchwycić jabłonkowski rynek. Dziękujemy za współpracę! Za tydzień kolejne wyzwanie dla Czytelników.

...tak jest



KRZYŻÓWKA KOMBINOWANA



Rozwiązaniem krzyżówki jest dokończenie fraszki, której autorem jest Jan Izydor Sztudynger (ur. 28 kwietnia 1904 w Krakowie, zm. 12 września 1970 tamże) – polski poeta, fraszkopisarz, satyryk, teoretyk lalkarstwa oraz tłumacz: „Twój uśmiech jest jak pączek róży...”

POZIOMO:

- The..., słynna czwórka z Liverpoolu
- przymierzka między krajami, alianse
- czas pracy jednej grupy górników, robotników
- rodzaj węgla brunatnego
- drapieżny ptak ceniony dawniej w sokolnictwie
- największa jednostka czasu w dziejach ziemi, dzieli się na okresy, np. kenozoik, mezozoik
- największy port morski Włoch

- włoska wyspa na Morzu Tyrreńskim, kojarząca się z Napoleonem
- mała Aleksandra
- roślina zielna dostarczająca włókien i nasion oleistych
- borsucza jama, podziemna kryjówka zwierząt
- ROZWIĄZANIE DODATKOWE**
- niewielka tuba
- budowla w stoczni, do budowy lub remontu statków wodnych
- zawołanie furmana
- roślina z rodziny rdestowatych

- element sprężynujący zawieszenia pojazdów, łagodzący wstrząsy w czasie jazdy
- dobierany stosownie do okazji
- Jerzy, były bramkarz reprezentacji Polski lub ptak owadożermy z czubkiem
- Joy, zoolog, pisarka: „Elza z afrykańskiego buszu”
- czeskie „ano” czy gwarowe „ja”
- bieg, kierunek czegoś, np. jakichś działań, czyichś myśli
- Pokémon podobny do myszy z dwoma wystającymi zębami

PIONOWO:

- AFRYKA, AGENOR, AMULET, BARBIE, ELAINE, IKARUS, ISTRIA, IZYDOR, JAGNIĘ, JAKUCK, KARAIB, LOGONE, MADDRYT, ORBITA, ÓSEMKA, SAMSON, SINIEC, SMALEC, SPEARS, ŚRODEK, WARKOT, WITRAŻ, YAMAHA, ZABIEG, ZAWRÓT

Wyrazy trudne lub mniej znane: ADAMSON, RARÓG, RATTATA, RHEUM

Wśród autorów poprawnych rozwiązań zostanie rozlosowana książka. Rozwiązania prosimy wysłać na e-mail: info@glos.live. Termin upływa w środę 7 lipca. Nagrodę książkową za poprawne rozwiązanie krzyżówki kombinowanej z 11 czerwca otrzymuje **Krystyna Tacina z Hawierzowa-Suchej**. Autorem dzisiejszego zadania jest Jan Kubiczek.

Rozwiązanie krzyżówki kombinowanej z 11 czerwca: WSTYD OKREŚLA ŚWIADOMOŚĆ